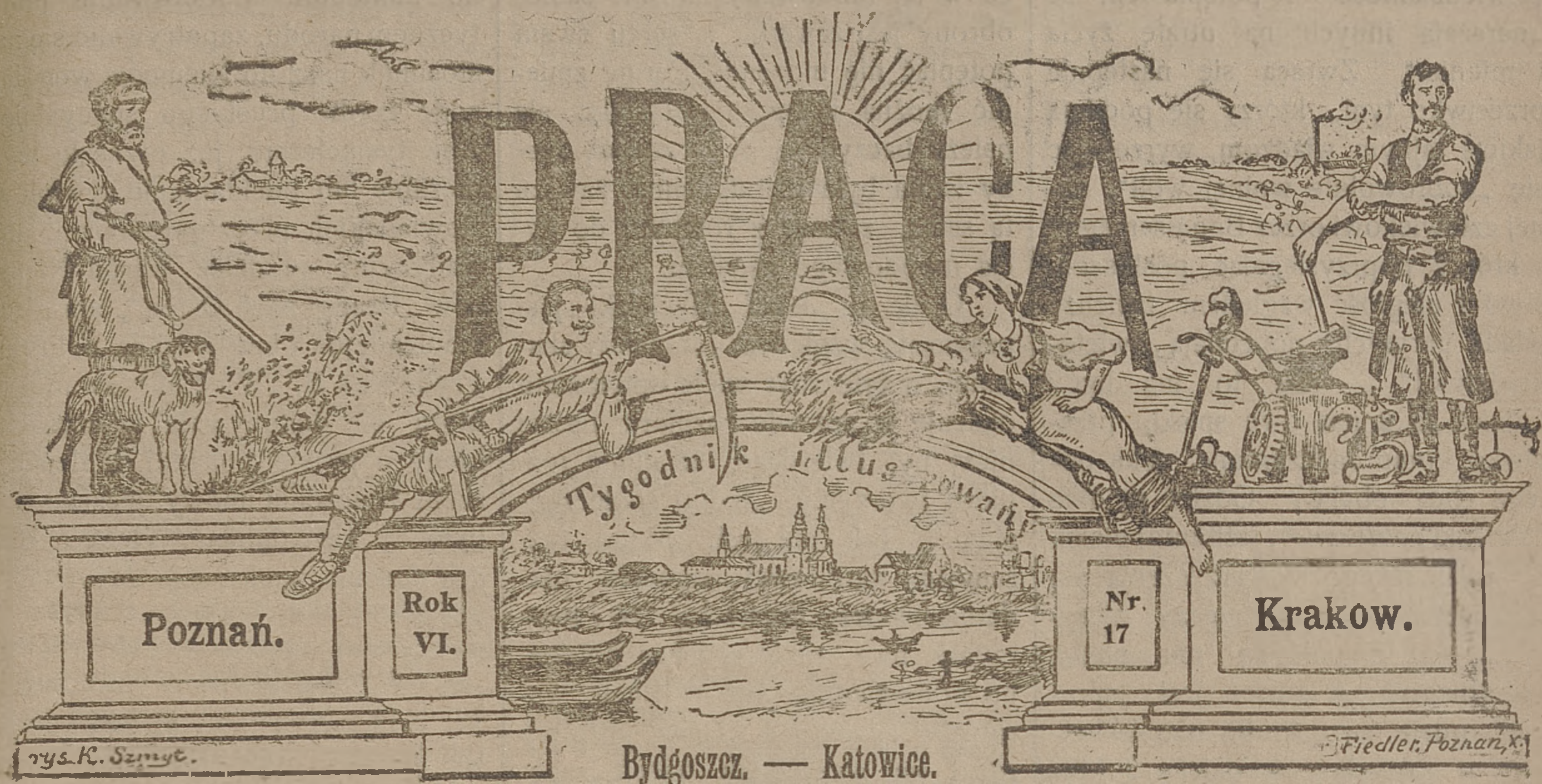
Niedziela, dnia 27-go Kwietnia 1902 roku.



Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Bałamuctwo!

Surowe wyroki, jakim podległa młodzież nasza gimnazyalna i akademicka, wykolejenie tak wielu od razu zdolnych, pełnych zapału młodzieńców z normalnych torów życia, klęski, jakie ztąd spadły na tyle rodzin polskich — wszystko to mogło i musiało poruszyć opinią. Nie dziwimy się też, że nawet poza sferą publicystyki naszej wywiązała się i trwa dotąd żywa nad żywotną kwestyą młodzieży naszej dyskusya. Co atoli razi, czego po prostu pojąć nie można, to dziwny sposób rozprawiania w tym samym kierunku i za pomocą tych samych frazesów, które służyły do aktu oskarżenia przeciwko naszym synom i braciom. Oto wszędzie słychać o „*spiskach*“ „*sprzysiężeniach*“, „*tajnych związkach politycznych.*“ Zapytujemy, gdzie one były wśród naszej młodzieży? Słychać ustawicznie głosy napomnienia, ażeby nie „spiskowano“, nie „zmawiano się tajemnie“, nie zadawano się w „konspiracye“. Zapytujemy, w którą stronę, dokąd, do kogo te napomnienia skierowane?

Dziwne doprawdy bałamuctwo! Ta młodzież nasza nie zapuszczała się *w żadne polityczne* knowania — łączyła się przecież i zespalała tylko, ażeby sobie ułatwiać naukę języka ojczystego, dziejów naszych i literatury polskiej — wydobywać z poniewierki to, co system pruski wyrzucił za próg szkoły, raniąc dotkliwie serca nasze i naturalnie serca młodszego pokolenia, wywołując żywy protest obrażonych uczuć narodowych, które prosty wzgląd ludzki uszanować nakazuje, ale jednak nie zabijając w duszy młodzieży naszej tego świętego poczucia, że należy wszelkiemi środkami i sposobami bronić tych skarbów naszych, któreby chciano na śmietnik wyrzucić. Jestże takie poczucie, uczciwe, naturalne i pochwały godne, zarodkiem „*spisków rewolucyjnych*“? Czy w myśl aktu oskarżenia i brzmienia wyroku i my obrzucać mamy młodzież naszą frazesami i zwrotami ujemnemi, jakiemi przy zasądzaniu określono nie grzeszną przecież samoobronę narodową, której *forma* tylko była tajna i dlatego niezgodna z prawem, której istota wszakże była tak naturalną, jak nasza miłość do narodu i Ojczyzny, jak przywiązanie do tego co nasze?

Swieżo zabrał znów głos przeciwko „spiskom“, „tajnym związkom politycznym“ i innym groźnym zamachom stanu pan Józef Mycielski w „Wielkopolaninie,“ a zaznaczywszy z góry to przekonanie, że oprócz drobnej liczby umysłów *niedojrzałych, chorobliwych*, lub *spaczonych* całe społeczeństwo przyzna mu słuszność“, pisze tak:

„Wszystkie prawie pisma polskie wywiodły historycznie i filozoficznie szkodliwość i niepraktyczność wszelkich *tajnych spisków*, a dzieje naszego narodu wykazały, że konspiracje położenie nasze zawsze pogarszały i li tylko na korzyść wrogów wychodziły. Pragnąłbym dodać to tylko jeszcze, że wszelkie *tajne związki polityczne* w obecnej dobie i w obecnem położeniu uważam za dowód pewnego braku *równowagi moralnej*, tak po stronie kierowników, jak po stronie uczestników.“

Następnie zapuszcza się autor przeciwko tym, którzy działają

„z bezpiecznego ukrycia", „gdzie ich nie może dosięgnąć żadna odpowiedzialność" i potępia ich, że „narażają innych na utratę życia i mienia." Zwraca się następnie przeciwko tym, którzy się poddają jakimś tajnym władzom, wyrzekając się „dobrowolnie wolnej woli", danej człowiekowi przez Boga samego" i którzy poprzysięgając posłuszeństwo i uległość względem takichże władz ukrytych, popełniają „świętokradztwo!" — Co to ma być? Gdzież są u nas owe spiski, przeciwko komu są czynione, jaką potęgę chcą obalić? Gdzież są owe „związki *polityczne*", jeźli autor niema na myśli owego stowarzyszenia się młodzieży dla nauki rzeczy ojczystych, co z polityką nic niema wspólnego? A gdzież jest „sprawa", gdzie są „środki nieszlachetne", o których mówi dalej p. J. Mycielski? Gdzie „ślepa przysięga", co „świętą sprawę jedynie splugawić może" — jak się autor wyraża?

Jeżeli wyroki pruskie nie zbałamuciły uczuć narodowych naszej młodzieży, to zaiste dokazać tego mogą niejasne, mętne wywody nad czemś, czego nie było, czego więc zwalczać też nie potrzeba. Ani my drogą naszych informacyi, choćby najdyskretniejszych, ani też sądy pruskie trybem śledztw i badań nie stwierdziły wśród młodzieży żadnego spisku, żadnego politycznego związku o rewolucyjnych ideach i hasłach. Stwierdzono tylko, że ten sam duch narodowy, który jest naszej obecnej obrony talizmanem i przyszłego bytu warownią, objawił się w formie, która naszej młodzieży szkólnej jest wzbronioną, podobnie, jak całemu społeczeństwu polskiemu w zaborze pruskim niejedno jest wzbronione mocą antypolskich ustaw.

Zgoda na to, że forma usiłowań samozachowawczych, forma obrony narodowej i wśród młodzieży urabiać się powinna tak, jak tego coraz gorsze i coraz trudniejsze wymagają stosunki. Zgoda na to, że trzeba nam sił duchowych, moralnych i materyalnych oszczędzać, a nie roztrwaniać, bo ich do zbytku nie mamy. Ale treści, ale istoty, co w tej lub owakiej formie samoobrony jest zawarta, w sercu swem potępiać nie możemy. Formę zmienić można i trzeba niekiedy, ale należy baczyć na to i czuwać, ażeby istota była nieodmienną, zawsze tą samą, zawsze z równym do życia narodowego zapałem.

O ile p. Józef Mycielski jest pesymistą względem młodzieży skazanej, o tyle zbyt wiele optymizmu okazuje w sprawie rozbioru naszej ojczyzny, twierdząc, że mimo rozbioru tworzymy „jedno społeczeństwo." Tak nie jest. Mimo tożsamości narodowej sprawiło rozdarcie na trzy części to, że tworzymy trzy społeczeństwa polskie, bo odpowiednio do różnych warunków społecznie właśnie jesteśmy różni we wszystkich trzech zaborach, a o jednolitej społecznej organizacyi mowy nawet nie ma. Jest tylko dziś jednota narodowości, jednota ducha narodowego, której bronić trzeba rozumnie i przezornie, ale z wszelką energią sił starszych jak młodszych. *Vester.*



Znamienny zwrot.

Gdyśmy przed 3 laty wyrazili przekonanie, że wszelkie czapkowanie przed wrażą przemocą na nic się nie przyda, a upokarza naród w poczuciu własnej godności, zarzucano nam brak politycznego zmysłu. A gdyśmy zgodnie z tem przekonaniem domagali się, ażeby posłowie nasi nie bawili się w żadne uprzejmości na arenach sejmowej i parlamentarnej, ale otwarcie piętnowali każdą krzywdę tak, jak im na to swoboda poselska pozwala, — wtedy posypały się pociski ze strony nieuleczalnych ugodowców, że uprawiamy „szkodliwy radykalizm." A znaleźli się też naiwni zwolennicy strusiej czy myszej polityki, którzy sobie do ucha jako ważne odkrycie szeptali, że gdyby prasa nasza „była cicho", nie byłoby praw wyjątkowych, nie byłoby ucisku i szykan nieznośnych.

Tak oto w niektórych kołach które sobie uraszczały pretensye do monopolu w kierowaniu politycznem narodu, zapatrywano się na stosunek nasz do Niemców wogóle, a do rządu pruskiego specyalnie. Ani tysiącletnie już przeszło wypieranie lub pochłanianie żywiołów słowiańskich przez germanizm, ani tradycyjny przecież wśród Niemców „Drang nach Osten", ani germanizacyjna i krzywdząca polityka Fryderyka II, „Wielkim" zwanego, która się dokonywała w czasach, kiedy o prasie polskiej w dzisiejszem znaczeniu mowy jeszcze nie było — nie zdołała wyleczyć nas gruntownie z choroby łatwowierności.

Wszystko to nie zdołało snadź wpoić w „wielkich" naszych polityków trzeźwego rozpoznania, że robota wynarodowiania, że upośledzenie zawojowanych chytrą, podstępną i nieludzką przemocą Polaków, że wszelkie zamachy na naszą narodowość są zupełnie niezawisłe od naszej postawy, tak jak niezawiśle od chlubnego dla nas przeobrażenia się stosunków w Polsce przed sejmem czteroletnim i podczas jego trwania dokonał się rozbiór naszej ojczyzny.

Ale zdrowa dusza narodu, nie troszcząc się o „wielkie" tajemnice polityki polskiej w Berlinie, popieranej przez największe rozmiarami organa prasy naszej, przeczuwała i odczuwała jasno, że gdy nie będziemy milczeli, pożeranie będzie się odbywało głośno, a w razie naszego milczenia, milcząco i po cichu. I trafniejszem było takie odczuwanie narodu niż pełne uroczystej tajemniczości kombinacye politycznych naszych myślicieli. Pokłony giętkie i uprzejmości nie nasyciły giermańsko-pruskiej żarłoczności, a szczery i otwarty ton w prasie „radykalną" zwanej sprawił przynajmniej to, że hahulone poprzednio żądze polakożercze stały się z biegiem czasu jawne, otwarte, roztrzeźwiające i że otrząsnęli się z politycznych mrzonek i ułud nawet ci naiwni, którym się

zdawało, iż Niemców przefabrykować można na przyjaciół naszych.

I jakież wielkie w zapatrywaniach i w opinii publicznej dokonało się w ciągu ostatnich lat kilku przeobrażenie?!

Otóż to, co zarzucano „Pracy" jako „szkodliwy radykalizm" zjawia się teraz na łamach tych samych pism, co nasz czysty, otwarty i jasny kierunek narodowy zwalczały! W całej prasie naszej w zaborze pruskim znać coraz wyraźniej tę samą „skrajność", jaka się uwydatniała w naszych artykułach, jaką uczuwała w sercu przeważna część narodu.

Dziś i „Kuryer Poznański" — co prawda pod nowem, jaśniejszem narodowo kierownictwem — śledząc niezliczone już pamiętne objawy nienawistnego Polakom ducha w całych Niemczech nawołuje posłów naszych do ostrzejszej, bezwzględnej obrony, ba, nawet do obstrukcyi uniemożliwiającej prawidłowy tok obrad sejmowych.

Nie chcemy z góry przesądzać, czy takie tamowanie biegu prac parlamentarnych byłoby ze strony posłów naszych możliwem, a w razie tej możliwości, czy odniosłoby jaki sukces; ale słuszną jest idea, że skoro reprezentacya narodu niemieckiego niema tyle poczucia, dobrej woli i siły, ażeby uniemożliwić ustawiczne krzywdzenie i upośledzanie Polaków, zagarniętych przemocą, to tem samem uprawnia nas do lekceważenia całej, niby to konstytucyjnej, parlamentarki.

W każdym zaś razie zachęta do obstrukcyjnej, tamującej tok obrad postawy posłów naszych w parlamencie, jest niezmiernie charakterystycznym znakiem, że prawdziwszemi i szczerszemi są dziś objawy naszego ducha narodowego, z którego istotą prasa nasza przed 3 laty nie zawsze bywała w zgodzie. *Ordon.*



Na nową walkę.

Na nową walkę, na nowe zapasy, choć już na czas nie długi, pospieszyli znów do Berlina posłowie nasi. Niech ich Bóg tam wspiera, niech dodaje hartu i siły!

Długą była ta sesya przedwielkanocna i gromko podczas niej rozlegały się głosy reprezentantów naszych, lecz ogromu skarg naszych jeszcze nie wyczerpała. Codziennie zresztą przybywają nowe. A tu nawet sytuacya w sejmie i parlamencie zmienia się coraz bardziej na niekorzyść naszą...

Trzeba będzie poruszyć i należycie napiętnować epilog sprawy wrzesińskiej, owo zatrzymanie w szkole ponad czas przepisany aż 40 dzieci polskich, wykazać, jak bezpodstawnym jest zarzut, iż dzieci te nie posiadają „moralnej dojrzałości".

Spodziewamy się też, że przyjdzie pod dyskusyą ów straszny dramat, jaki się wydarzył w Poznaniu w wilią palmowej niedzieli. Jest on wstrząsającym argumentem przeciwko wszelkim sofizmatom i wybiegom tych, którzyby radzi dowodzić, że stosunki w szkolnictwie są beznaganne, że są „chlubą" przed światem!

Po zatem otrzyma zapewne należytą odprawę także ów brat apostaty z Centrum, który w izbie Panów śmiał spotwarzyć duchowieństwo polskie. Gdy żaden z członków izby Panów nie zdomógł się na odparcie niegodnych tych zarzutów, winni uczynić to posłowie w sejmie. Wymaga tego wprost honor zacnego duchowieństwa naszego.

Centrum, jak wiadomo, wniosło interpelacyą w sprawie rozwiązania zebrania polskich robotników w Rybniku, z powodu, że przemawiać miano na niem po polsku, a wniosło tę interpelacyą umyślnie bez zażądania poparcia posłów polskich. Sądzimy, że nasi reprezentanci tem nie pozwolą sobie ust zamknąć, lecz, że przemówią stanowczo i z godnością że pokażą sejmowi i światu, iż *oni* przedewszystkiem mają prawo przemawiać w obronie praw *polskiego* ludu.

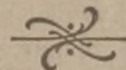
Nie zabraknie wielu innych jeszcze sposobności do wytoczenia skarg naszych. Ciężkie to zadanie, trud ogromny a niewdzięczny, ale wymaga tego dobro społeczeństwa polskiego. Uznanie zdobyły sobie oba Koła polskie przed Wielkanocą, niechaj nowe uznanie towarzyszy im, gdy wracać będą na letni wypoczynek.

Jest jedna kwestya, którą polecamy ich uwadze. Właśnie owa interpelacya centrowa w sprawie Rybnika i to wystąpienie hr. Hoensbroecha dowodzą, iż stosunek nasz do centrum zmienia się ciągle i stale. A zmienić się może bardziej jeszcze, jeźli na czele stronnictwa tego stanie taki *Bachem* z nad Renu, który raz już rzucił w twarz posłom polskim bezpodstawne inwektywy.

Niechże tedy poważnie rozważą, czy dalej będzie możliwą ta nasza uległość dla centrum, czy nie należałoby ją zerwać i zastąpić... organizacyą ludu polskiego na przestrzeni całego zaboru pruskiego, nie wyjmując Slązka? Jak długo jeszcze mają Niemcy reprezentować w sejmie i parlamencie trzecią część ludności polskiej pod rządem pruskim? Od posłów dużo zależy, niechże wezmą w rękę inicyatywę do zupełnego odzyskania prastarej polskiej dzielnicy, niechże przynajmniej nie przeszkadzają temu, co już dawno stać się było powinno. Zbliża się pora, w której decyzya zapaść musi; do nowych wyborów już niedaleko!

Opinia publiczna oczekuje od nich wielkich rzeczy. Niechże spełnią pod każdym względem pokładane w nich zaufanie! Powinni przecież być nietylko obrońcami, ale i przywódzcami społeczeństwa swego....

Więc, polecając im tę ważną sprawę — oczekujemy jej załatwienia w myśl opinii ogółu. *Narodowiec.*



Sąd na komisyą kolonizacyjną.

W sejmie pruskim nie milkną głosy skargi na wyrządzane krzywdy. Obrońców naszych nie zraża ani nieobecność ministrów, ani brutalna bezwzględność większości, ani wstrętna w swej hypokryzyi i sofistyce „swada" jej mówców.

I w ubiegłym znów tygodniu skorzystali z sposobności — z postawienia na porządku obrad etatu odnośnego, aby wydać sąd o *komisyi kolonizacyjnej.* A sąd to był taki, że zwolennicy tego jedynego w swoim rodzaju eksperymentu prawnopaństwowego napróżno się silili osłabić miażdżące wywody.

Pierwszy zabrał głos poseł pan doktor *Brodnicki.* Mówił z odwagą, i otwartością i „ciętością", jaka cechuje wszystkie jego wystąpienia na trybunie. Nie ograniczył się przytem wyłącznie na przedmiocie obrad, lecz poruszył także wiele innych krzywd naszych, mianowicie zaś ów ukaz, zabraniający urzędnikom polskim rozmawiać nawet z rodziną i służbą po polsku. Jest to gwałt — mówił, wołający o pomstę do nieba. Komisyą kolonizacyjną, a mianowicie jej tendencyą wodzenia na pokuszenie

ziemian polskich nazwał z *„przestępstwem nie do przebaczenia.“*

„Niemcy — wołał z gryzącą ironią — entuzyazmują się za Burami, dla siebie żądają nie tylko w Rosyi, gdzie najchętniej osiedlają się nad pruską granicą, ale także w innych państwach, gdzie tylko postawią swoją stopę, ochrony i obrony dla swego języka, swej ewangelickiej religii i swych obyczajów.

„Jak to pogodzić z odrobiną choćby poczucia sprawiedliwości, że oni wszystko to, czego żądają od innych państw, gdzie są tylko *przybyszami*, odbierają własnym równouprawnionym współobywatelom, którzy są pruskimi poddanymi, nam Polakom?“

Zwrócił także uwagę na posługiwanie się agentami, którzy pod chytrym pozorem nabywania ziemi niby to dla siebie, wyłudzają ją podstępnie od Polaków na rzecz komisyi kolonizacyjnej i dziwił się, jak mogą *władze* korzystać z usług tak *niehonorowych ludzi*! Kłamstwem jest owo ustawiczne utyskiwanie na ucisk Niemców ze strony Polaków.

Wystarcza zwiedzić przelotnie Księstwo Poznańskie i Prusy Zachodnie, aby na pierwszy rzut oka przekonać się, *kto ciemięzcą a kto uciemiężonym.* Rząd powinien sobie raz wreszcie uprzytomnić, ile nieszczęścia wywołał wśród ludności polskiej przez to, że *„przeciw prawu się z nią obchodzi.“* Niechaj rząd nie zapomina o tem, *„że zły przykład zawsze mści się na tych, którzy go dają.“*

„Rząd lichą ma pamięć!“ — zawołał na to poseł pan *Czarliński.*

„Polacy — mówił dalej poseł Brodnicki — posiadają poręczone prawa, a jeżeli sądzicie, że nie potrzebujecie ich uwzględniać, ponieważ macie siłę, to się strasznie mylicie! *Siła nie idzie przed prawem. Nasze zaś prawa nie ulegają przedawnieniu*, a jeżeli mniemacie, że nie potrzebujecie ich uwzględniać, to się strasznie mylicie. My się swej narodowości nie zaprzemy. Jesteśmy Polakami i pozostaniemy Polakami. Wasz honor narodowy nie jest więcej wart od naszego, i chociażbyście jeszcze ostrzejszych przeciwko nam używali środków, nie zdołacie nam żadną miarą wydrzeć z piersi przywiązania do narodowości ani naszej ufności w Boga. *Bóg cuda czyni — a szczęście ludzkie wszakże zwodnicze....!“*

Słowa te padały jak gromy i potężnem echem odbijały się o mury gmachu tego pruskieg ociała prawodawczego.

Następny mówca polski, pan radzca *Mizerski*, starał się znów wykazać, że ustawa kolonizacyjna sprzeciwia się konstytucyi i wogóle prawu. Wspomniał o tem, że nawet tak zręczny „interpretator“ ustaw, jakim był nieboszczyk Miquel — nie silił się zbić zarzutu tego, bo wiedział, że byłoby to niemożliwem. Dalej zwrócił na to uwagę, że ustawa ta nietylko germanizuje, ale i protestantyzuje, że gwałtem stara się w przeważnie katolickiej dzielnicy wzmocnić żywioł *protestancki* ze szkodą dla katolickiego. Od czasu, gdy Bismarck zaczął postępować wedle pogańskiej zasady: *„siła przed prawem“* zmienił się znacznie cały sposób myślenia narodu niemieckiego. Co się dawniej czciło jako najwyższy ideał, teraz nazywa się *„mrzonką humanitarną“* Niemiecki „Michel“ *zmienił pierze.* Dawną swą szlafmycę powiesił na haku, a przywdział *pikielhaubę*, pod którą z zaciekłością obrabia polskie i duńskie grzbiety. Na konto tej zmiany zapisać trzeba także ów milionowy *fundusz gadzinowy*, którego używa się na to, ażeby Niemców w polskich dzielnicach wzmacniać a tubylczą ludność polską gnębić i ekonomicznie zwalczać, dalej usuwanie języka polskiego ze szkoły, nawet z nauki religii.

„To wszystko są rzeczy mówił dalej poseł *Mizerski* — których nigdy nie będzie można pogodzić z sprawiedliwością i poczuciem słuszności, które nigdy nie spłyną błogosławieństwem na niemiecki naród. Gorzkiego owocu sponiewierania praw humanitarności jużeście się doczekali; wystarczy gdy powiem: „hańbo, na imię ci Września.“

(Wesołość).

„A mimo to wszystko, mimo że nas komisya kolonizacyjna krok za krokiem wypiera z ojczystej gleby, *nie upadamy na duchu.* Sądzę nawet, że właśnie ta komisya daje nam bodźca do skupiania się i przyswajania sobie cnót, których nie posiadaliśmy. Polskiego chłopa, któremu sławione przez księcia Bismarcka przywiązanie do państwa, bezpowrotnie odebrano, oburzyło wykluczenie tubylczej ludności od nabywania parcel. Nauczył się być pilnym, oszczędnym, trzeźwym. Stara się on z niesłychaną wytrwałością o nabywanie ziemi, żeby powetować szkody, poczynione przez komisyą kolonizacyjną. *Błogosławieństwo boże spoczywa na jego działalności*, bo mała własność, jak sami przyznajecie, zwiększa się z roku na rok. Można więc poniekąd twierdzić, że komisya kolonizacyjna pracuje i dla nas. *Dlatego bez obawy patrzymy w przyszłość, pamiętając na słowa pisma: chcieliście uczynić mu na złe, aliści mu to wyszło na dobre!“*

Słysząc to butni junkrzy pruscy oraz inni poplecznicy rządu nadrabiali minami, ale widać było aż nadto dobrze, jak ich słowa te gryzły i piekły. Już przed posłem dr. *Mizerskim* starał się konserwatysta hr. *Arnim* osłabić siłę polskich argumentów i ratować, co się da ratować, ale źle na tem wyszedł, bo „prawnicze“ wywody jego wykazał poseł Mizerski jako prawdziwe *absurda.* Pospieszył mu z pomocą jeszcze poseł narodowo-liberalny *Sieg*, usiłując przewrócić kota w miechu i na skargi polskie odpowiedzieć zarzutem, że Polacy gnębią Niemców katolików — ale i to się nie udało. Nawet „szeroka buzia“ posła Sattlera nie zdołała ocalić sytuacyi. Obaj dostali miażdżącą odprawę z ust posłów naszych pp. *Schrödera* i ks. kan. *Neubauera.* Pierwszy podniósł i to jeszcze, że nawet *kupując ziemię od Niemców, krzywdzi komisya kolonizacyjna lud polski, ponieważ wypiera się go z nabytych majątków i zarobku pozbawia.* Panu Arnimowi powiedział, że kto w polityce pomija zasady etyczne, *wpada w bagno niemoralności.* „Są prawdy i zasady, których zniweczyć nie można, a które, gdy wojujący niemi zachowa pewną cierpliwość w końcu muszą doprowadzić do zwycięztwa. Poseł Arnim groził już trzecią setką milionów na kolonizacyą. Zapomniał atoli o tem, że stosunki mogą się tak zmienić, *iż Prusom nie sterczy już tych milionów*! I ustawa kolonizacyjna, chociaż ją uważacie za wieczną — utrzyma się tylko dopóty, dopóki *wyższa siła* nie stworzy innych stosunków, *które ją zmiotą z powierzchni świata....*

To proroctwo dotknęło do żywego zwolenników gwałtu, bo aż wymachiwaniem rękami starali się dodać sobie fantazyi.

Krótko, ale dobitnie wykazał w końcu ks. kan. *Neubauer* fałsze i brednie, zawarte w przemówieniach posłów *Siega* i *Sattlera*, dowodził, że ustawa kolonizacyjna faktycznie dąży także do sprotestantyzowania katolicko - polskich dzielnic.

Zwycięztwo było więc i tym razem po naszej stronie, wprawdzie znów tylko *moralne*, ale i to nam wystarczać powinno. Takie moralne sukcesy nie mogą pozostać bez wpływu na działanie przemocy, tak ujemne dotąd i krzywdzące!

Przeciwko komisyi kolonizacyjnej wystąpił także poseł centrowy *Roeren*, a wystąpił z mocą i energią, jakiej dawno już nie okazywało centrum w sprawach polskich. I on wykazywał, że ustawa kolonizacyjna jest nietylko środkiem niemoralnym, ale także nie zgadzającym się z konstytucyą. Że nietylko germanizuje, lecz także protestantyzuje — to jasne jak słońce i poparte niezliczonemi dowodami.

Występ ten w obronie sprawiedliwości uznać należy. Przykre atoli sprawia wrażenie służalcza wprost postawa, jaką

przybiera przeważna część prasy naszej ilekroć z ust mówców centrowych padają przyjemne dla nas słowa. Doszło do tego, że się każdą pomoc z tej strony uważa niemal za *łaskę*, za *dobrodziejstwo*. Zapomina się zaś o tem, że przecież stronnictwo, które na swym sztandarze wypisało hasło: *Za wolność, prawdę i sprawiedliwość* — musi we własnym interesie zwalczać gwałt i niesprawiedliwość; zapomina i o tem, że stronnictwo na takich oparte zasadach jeszcze energicznlej nawet występować powinno przeciwko dziejącym się nam krzywdom. Chcąc uchodzić za prawych katolików, *muszą chyba nas bronić*, jeśli swym własnym hasłom kłamu zadawać niechcą.

Jedno jeszcze podpadło nam w tej nowej debacie polskiej. Oto marszałek pan *Kroecher* dziwną od pewnego czasu zdradza drażliwość wobec słów ostrzejszych, padających z ust polskich, podczas gdy Niemcom dużo wybacza. I tak zganił nawet posłowi prof. *Schroederowi*, że śmiał p. Siegowi zarzucić posługiwanie się *frazesami*. Zdaniem pana Kroechera poseł niemiecki nie używa *frazesów!* Czyżby i w ten sposób zamierzano utrudnić posłom polskim obronę praw naszych? Nie zgadzałoby się to wprawdzie z bezstronnością, jakiej przestrzegać winien marszałek sejmu, aleć w państwie „ładu i porządku“ — wszystko możliwe.

Niech jednakże i pan Kroecher nie sądzi, że tem zrazi posłów polskich. Właśnie te obrady wykazały dowodnie, iż szermierzy naszych nic nie zniechęci, nie zrazi, że bronić będą świętej naszej sprawy dopóty, dopóki — jak słusznie zauważył poseł pan *Schroeder*, *wyższa siła — a więc siła Boża — w puch nie rozbije antipolskich ustaw*. Że się to stanie, o tem nikt nie może wątpić, kto wierzy w *Boga i boską sprawiedliwość*. My wierzymy, a więc zawsze wróg nas znajdzie na straży narodowych świętości.

Czujny.



Teatr a prasa.

Mamy scenę własną i to polską scenę, a z tych dwóch punktów widzenia należy oceniać jej działalność.

Jako scena dostarcza nam ona artystycznej strawy duchowej, daje nam rozrywkę, daje myśl, daje harmonię dźwięków języka i poniekąd nas uczy.

Jako *polska* scena daje nam polską rozrywkę, polską myśl, akordy sympatyczne pięknego naszego języka.

Tak więc teatr jest niejako cząstką naszego duchowego życia, a że prasy naszej zadaniem jest śledzić to życie, osądzać i nadawać kierunek właściwy, przeto bezwarunkowo jej obowiązkiem jest zajęcie się stosowne sceną polską.

Należy się scenie jako takiej krytyka przedmiotowa, krytyka sprawiedliwa ze strony prasy: krytyka sztuk dawanych i gry artystów, nagana lub pochwała, ale zawsze rzeczowa i szczera. Należą jej się dalej wskazówki i rady ze strony prasy, ale naturalnie także rzeczowe i szczere.

A że ta scena jest polską, przeto należy się jej ze strony polskiej prasy życzliwość bezinteresowna. A gdy wszystko, co polskie, jest dla wrogów naszych coraz bardziej nienawistnem, kiedy wszystko, co nasze, dla nas coraz droższem się stawa, to o ileż więcej jesteśmy do takiej życzliwości obowiązani!

Mówiąc o *życzliwości*, nie myślimy bynajmniej o ślepej adoracyi, czczych pochwałach dla sceny, bo wszakże dopominamy się o *rzeczową* krytykę.

Przez „życzliwość“ rozumiemy przyjacielskie i światłe rady, gdy ich potrzeba, zachęcanie publiczności na korzyść sceny, usposabianie jej przyjazne dla tej instytucyi, która w formie artystycznej niesie nam myśl w darze, niesie pokarm dla ducha.

A czy prasa nasza spełnia względem teatru te dwie powinności: zadanie krytyki i życzliwe poparcie?

Co do pierwszego punktu w przeważnej części nie — ale nie dziwić się jej. Zanadto wiele mamy tutaj w Poznaniu zagadnień innego rodzaju. Za wiele walki poważnej a wyczerpującej, za wiele pracy publicznej, za mało zatem czasu, no i w końcu sił za mało, ażeby należycie sprawie sceny polskiej się poświęcać.

Ale, jak powiadamy, braki te panują tylko co do pierwszego punktu, tylko co do krytyki jako takiej.

Drugi swój obowiązek wobec sceny polskiej tj. zachowanie życzliwości koniecznej prasa polska w ogólności wypełnia, rozumiejąc dobrze, iż stosunki dla teatru w Poznaniu są bardzo trudne i że w miarę możności ułatwiać je należy kierownikowi sceny.

Tym bardziej razi każda wzmianka, każda uwaga, tchnąca nieżyczliwością, jakąś niechęcią, w dodatku źle zamaskowaną. Na łamach jednego z pism ukazywały się niestety podczas ostatniego sezonu aż nazbyt często wzmianki takie, gdy tymczasem krytyki głębszej, słusznej, kierowanej wyższym interesem sceny szukało się daremnie.

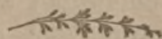
Nie krytyka to przecież, gdy n. p. w referacie z przedstawienia „Grochowego Wieńca“ udatnego i przygotowanego starannie, nie znajduje się ani jednego wyrazu uznania, a natomiast złośliwą uwagę, że ładownica u pasa jednego z wojaków nie odpowiadała czasom, w jakich się dramat rozgrywał. A wszakże tego rodzaju zgryźliwe uwagi, do których się ograniczała krytyka, zdarzały się częściej!

Czyliż zainteresowanie się losami teatru i działalnością sceny tak objawiać się powinno? Artystów to nie podniesie, kierownika nie zachęci, a scenie chyba tylko zaszkodzić może, bo w bezkrytycznych sferach publiczności może szerzyć mniemanie jakby teatr nasz na dodatniejsze wspomnienie nie zasługiwał wcale, a po za tem naturalnie zobojętnienie.

Prasa ma poważną władzę w swojem ręku, ale ta władza wtedy dopiero błogi wpływ wywierać może, gdy nią nie kieruje żadna prywata, żadna osobista nienawiść, gdy nawet wśród zatargów prywatnych potrafi rozróżniać osoby od przedmiotów, o których ma wypowiedzieć zdanie. Tak samo byłoby niesłusznem, gdyby jaki kierownik teatru dla zaspokojenia osobistych niechęci, zapominając niekiedy o wyższych swych zadaniach, zapragnął użyć sceny na to, ażeby publicznie, jak to mówią, dopiec komuś, kogo sobie znienawidził. Do czegożby to przywiodło, gdyby publiczne łamy jakiego pisma perjodycznego i scena publiczna poczęły się traktować popisami wzajemnej niechęci i nienawiści, przesadzając się ile możności w odwecie?

Chyba nie do takich popisów prasa i nie do takich scena. Jedna i druga ma i mieć powinna wyższe swoje cele, jedna i druga, szczególnie u nas służyć winna zadaniom wznioślejszym, a scena, podlegając krytyce, ma prawo żądać krytyki przedmiotowej, bezstronnej, a nadto — u nas osobliwie — życzliwości.

Verus.



WIOSNA!

Wiosna — to zbudzenie ze snu, z letargu — to do nowego życia podnieta.

I u nas wiosna nowe tętna życia pobudzić powinna. Ale czy nie śpim, czy nie leżym w letargu? Czy czuwamy, czy czuwamy wszyscy?

Niestety, *nie wszyscy czuwamy*.

Nie nam mówić o *zmartwych*powstaniu, bo żyjemy, ale nie wszyscy, nie wszyscy czuwamy. A na dworze, a na ziemi, przyroda wczoraj jeszcze oddychała letargicznym, mroźnym tchem, i zimy bezbarwną szarzyzną milczała. Ale dzisiaj, ale dzisiaj idzie z za gór

moc budząca, idzie z południowych siół, idzie silna, idzie głośna — *wiosna* idzie! I głaszcze dłonią ciepłą skostniałe matki-ziemi ciało i woła: „Zbudź się!“ I tan zawodzi wokół dębów starych i chwyta je i potrząsa nimi i śpiewa: „Zbudźcie się, zbudźcie!“ I płynie na chaty i do chat płynie i woła do ludzi i do serc krzyczy: „Zbudźcie się, bo czas!“

I do nas woła: *„Zbudźcie się, bo czas wielki!“*

Wielu z nas siedzi przy oknie kawiarni i patrzy przez szybę na przechodniów, patrzy na tłum, na życie i krytykuje i uśmiecha się i robi uwagi, czasem ciepłe, czasem trafne i korzystne, ale bezowocne, trupie, bo tylko wypowiedziane. Pędzą oni taki żywot bierny, patrzą i widzą, że *inni* czynią, przyzwyczajają się do tego i z czasem zdaje im się, iż oni nie do czynu stworzeni, iż na to są ci *„inni,“* i bezwładnieją i giną. Czyż nie lepiej wyjść z tej kawiarni bierności życiowej, wejść w życie, wmięszać się w przechodniów, wmięszać się w tłum, *być* przechodniem, *być* tłumem, iść z nimi, *działać* z nimi lub ich *prowadzić?*

Więc zbudźcie się wy, widze bierni, zbudźcie się, by nie ubezwładnieć!

Zbudźcie się i wy, co drętwiejecie w *zwątpieniu.* Mówicie: „To na nic się nie przyda.“ — I ta myśl waszą pociechą i rozpaczą waszą. Nie wy rozstrzygać możecie, czy się przydacie lub nie, nie wy. To przyszłość rozstrzygnie. Czy *wam* się to przyda, niewiemy. Ale jeśli nie, to przyszłym waszym pokoleniom. Kto zwątpił, ten już zginął. Nam wątpić nie wolno. Ale nam też wątpić wcale się nie godzi. Jest nas — dwadzieścia milionów! Więc w górę serca! A ręce dalejże do pracy na ojczystych zagonach! Mówicie: „Ja sam nic nie pomogę“ i usuwacie się na fotel i drzemiecie — to głupia skromność, albo też zła wola, pragnąca się uniewinnić z bezczynności. Wy sami w słowa swe nie wierzycie, wierzyć nie możecie. *Każdy się przyda,* każdy pomoże, kto ma serce i rozum i ręce i ducha. Naród — to łańcuch jeden, a każdy z nas ogniwem w tym łańcuchu. — Wy drzemiecie. Zbudźcie się z drzemki!

I wy się obudźcie, którzy z samolubstwa wstrętnego oddajecie się jakiejś *manii wielkości,* którym się zdaje, że to wszystko dla was za niskie, że jesteście wyżsi ponad idee narodowe. *Takich „wyższych“ niema wcale.* Im kto istotnie wyższy i dzielniejszy, tym więcej sprawie służyć powinien. Najdzielniejsze i największe duchy narodu były i będą owych idei najświętszych najgorliwszymy sługami i kapłanami. Więc nie oszukujcie siebie, zbudźcie się z letargu!

Często słyszymy skargi i utyskiwania: „Co też to Księstwo za kąt nietowarzyski!“ Gdy wieczór wolny, niema dokąd pójść, gdzie pogawędzić, gdzie się pobawić.“ Jeżeli tak jest, któż właściwie temu winien? Ot ci, co się skarżą. Bo wszakże i *oni* tworzyć mogą towarzystwa, i oni towarzyskość wyrabiać powinni, i oni powinni gromadzić innych naokół siebie. Ale inicyatywy brak. Czekają, czy drugi czegoś nie zrobi, czekają i skarżą się. Ale skarga ta i z innych względów wydaje nam się bezzasadną. Mamy towarzystwa, mamy pole do wspólnego obcowania. Ale pan X. nie pójdzie tamdotąd, gdyż tam przebywa pan Y., pan A. nie pójdzie, bo mu się lokal nie podoba, a pan B. nie idzie, lecz skarżyć się woli, bo mu się niepodoba całe środowisko, bo mu czegoś za wiele, czegoś za mało, bo mówią inaczej lub o czem innem, niżby pragnął. Niechby poszli do środka, niechby reformowali, gdy źle się dzieje, niechby poprawiali, *by działo się lepiej,* ale nie — oni siedzą i utyskują.

Inny znowu szuka w towarzystwie i w towarzystwach zorganizowanych tylko czczej zabawy, ile możności błazeństwa, tłustych rozrywek, ile możności polskich tingeltanglów. Czyż godzi się mieć takie pragnienia? Nauczmy się bawić poważnie, bo i poważna zabawa istnieje, jest prawdziwą zabawą, a nie pozostawia po sobie niesmaku ani przesytu. A więc nie biadać, że „czegoś niema,“ lecz *starać się by było.* A więc nie tęsknić za cyrkiem, za piskiem muz podkasanych, gdy dźwięczyć wam może pieśń polska.

A i w wasze serca, kobiety i dziewice nasze, niech spłynie tchnienie wiośniane. Dużo łez suszycie, biedy łagodzicie, dużo i dużo ran goicie bolesnych. Ale też wiele jest między wami takich, które wierząc w słabość płci swojej, nie biorą się do niczego, i wiele takich, *które tylko dlatego w słabość tę wierzą, by nie brać się do niczego,* które się niczem nie przejmą serdecznie i szczerze, nigdy sobą być nie chcą, pieszczą się własnem życiem swojem. Nie myślcie, iż macie osobne jakieś *przywileje* do bezczynu wśród snów.

Zbudźcie się! W chwili, gdy wiosna tysiące i miliony istnień przywołuje do życia, a każde z tych istnień rozwija w sobie pierwiastki bytu, pamiętajmy, że i nam żyć trzeba pełnem rozbudzeniem życiem i wyrabiać te pierwiastki, które o naszej sile, o naszej przyszłości stanowić mają.

Żyjmy wiosną narodowego i społecznego ducha!

Prawdzic.



Lutnia Maryi Konopnickiej.

(Dokończenie.)

W poetyckiej twórczości naszego narodu nie było dotąd pieśni, w którychby brzmiało tak silnie współczucie dla ludu i objawiało się tak gorące i czyste pragnienie polepszenia jego doli, jak w poezyi Konopnickiej. Poetka tak jest przejęta w posłannictwie swem ideą miłości bliźniego, braterstwa i równości w narodzie, ideą zmazania krzywd i panowania zupełnej sprawiedliwości, że działanie poezyi pod hasłem tej idei uważa za wznioślejsze niż opiewane przez poetów powaby natury. Ale do takiej poezyi potrzeba siły wielkiej i o tę siłę „dla śpiewaków i lirników“ narodu naszego prosi ona Boga w „Modlitwach wiosennych:

„Nie skowronkom, nie słowikom,
Ty co stwarzasz maj,
Lecz śpiewakom i lirnikom
Siłę pieśni daj!
Starych mistrzów żywe zdroje
Ledwo starczą już,
By ugasić niepokoje
Gorejących dusz.“

Bardziej niż skowronkom i słowikom jest ludziom potrzebna pieśń silna, potężna, przy której dźwiękach w piersiach rozpłonęłyby nowe zapały:

„Wiosny! wiosny nam dla *pieśni,*
Niechaj wstanie wieszcz...
Niech nam pierś otrząśnie z pleśni
Wielkich wzruszeń dreszcz!“
Niech się zbudzi narodowa
Lira z śmierci snu!
Niech rozdźwięknie wieszcze słowa,
Niech nabierze tchu!“

Potrzeba nam pieśni o tej sile żywiołowej, twórczej, płodnej, jak burze wiosenne, które się przyczyniają do wybujania młodych w przyrodzie pierwiastków:

„Skrzesz, o Boże! błyskawicę
Płodnych wiosny burz...
Odrodzenia tajemnicę
W pieśni naszej złóż!
Niech, jak zdrój ojczysty wzbierze
Z naszych łąk i pól...
Niech, jak pszczoła, pyłki świeże
Znosi w wspólny ul.
Niechaj spadną brylantowe,
Urodzajne dżdże,
Niech zapłodnią pieśni nowe,
Niech orzeźwią je!“

Takie modły śle poetka do nieba, patrząc z serdecznym bólem przedewszystkiem na niedolę i katusze własnego narodu, na cierpiane straszne krzywdy i niezagojone, rozdzierane raczej rany Ojczyzny. Ale nie mniejszym żalem ją przenika widok rozdarcia w społeczeństwie ludzkiem w ogóle, gdy widzi ogromną przepaść roździelającą ród ludzki na krzywdzonych i krzywdzących:

„Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A taką straszną, jak rozwarte rany?...
Czemu jej zrównać, zapełnić nie mogą
Wybuchy pomsty ogniów swych pożogą?
Czemu jest zawsze, jak rozpacz bezdenna,
A jak nienawiść, okropna, płomienna?“
. . . .
Krwią swoją ludzkość zalewa ją co dnia
W głębie jej leci i cnota i zbrodnia
I łza, i klątwa, i miłość i zdrada;
A przecież wszystko marnie gdzieś [przepada...“

A mimo całej grozy, jaką Konopnicka widzi w tej przepaści, rozdzierającej ludzkość, nie odwraca się od niej pod wpływem przerażenia i bólu, nie odwraca się z wstrętem od występków, zbrodni i hańb ludzkich, lecz przeciwnie śledzi je, bada, wnika w nie aż do pierwiastków złotwórczych i usiłuje wskazać środki i sposoby do leczenia ran społecznych. Podobnie jak wielka powieściopisarka nasza Eliza Orzeszkowa, tak też i Konopnicka nie rzuca wyroków potępienia na błądzących i grzesznych, jeno widzi nieszczęśliwych, którym nieść pomoc, których podnosić, uszlachetniać się godzi:

„Niechaj przeklęte będą te pręgierze,
Pod które ciemnych i bezbronnych wloką,
By nędzę bratnią postawić na oko...“

Dlatego też szczególnie silnem jest w poezyach jubilatki wołanie o oświatę, która jedynie podźwignąć może szare, ciemne masy z nędzy i niedoli, wyrwać z moralnego upośledzenia, uszlachetnić duszę i uposobić do wyższych ludzkich odczuć.

Ta myśl snuje się jak nić złota przez wszystkie prawie jej utwory, poświęcone niedoli ludu, a szczególnie pięknie uplastycznioną jest w obrazku poetycznym „Przed sądem“. Widzimy tam przed kratkami sądu, jako winowajcę małego chłopczynę, czekającego na wyrok surowy za popełniony występek. Na twarzy nędzy ślady, pierś zapadła, ręce nagie, wychudłe i sine, w oczach zapłakanych wyraz trwogi, a w całej postawie zaniedbanie. Pyta sędzia o rodziców, na co pisarz odpowiada: „nieznani“; pyta winowajcę, czy w wiosce jest szkoła, a na to od chłopca otrzymuje odpowiedź przeczącą. I zadumał się sędzia w wielkiej, ciemnej i jakby bezlitośnej sali, patrzy na chłopca, na którego główkę słońce przez okno właśnie rzucało promyk złoty, „jakby Bóg gładził włosy jego płowe“, a w tej zadumie słyszy surowy głos sumienia:

„Niechże was Chrystus... rozsądzi,
„Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
„Co drogi niezna i w ciemnościach [błądzi,
„Czy wy, co grube spisujecie tomy
„Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
„By uczyć dziecię, które jest sierotą...
„Niechże was Chrystus sądzi!..

Głos ten nie pozwolił wydać potępiającego wyroku, więc

„Sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę,
„Blade czekało na wyrok surowy,
„I dotknął ręką jego płowej głowy,
„I rzekł: *„Pójdź dziecię! ja cię uczyć [każę!“*

Podobnym dźwiękiem rozbrzmiewają liczne inne poematy Konopnickiej, jak n. p. pierwsza z „Modlitw wiosennych“, w której poetka woła, ażeby wolny duch wzleciał i drogę w krainę światłości ukazał, ażeby „chleb światła rozkrajał pomiędzy nędzarzy“; albo też jedna z pieśni zatytułowanych „Z dni smutku“, w której słychać wyraz ubolewania, że słońce tak powoli wschodzi „nad przepaściami głębokich niedoli:“

„O! spiesz się słońce, niech dzień nowy [wstanie,
„Wszak tylko światło zwycięża otchła-[nie.“

Ale chcąc nieść przed narodem oświaty kaganiec, potrzeba miłości szczerej, czystej, głębokiej, miłości bliźniego, miłości tych, co w czoła pocie pracują na kęs chleba, miłości tej ziemi, co pracy i poświęcenia wymagą. I ten tylko na ziemi naszej ma prawo bytu, który czuje w sercu zapał do miłości i poświęcenia, a chęć i energią do bratniej współpracy na ojczystym zagonie:

„Temu tylko pług, a socha,
„Kto tę czarną ziemię kocha,
„Kto ten zagon zna do głębi
„Kogo rosa ta nie ziębi,
„Kto rodzinnych swoich pól
„Zna wymowę — łzy i ból.
. . . .
„Kto ukochał lud w siermiędze,
„Kto zna twardej doli nędze,
„Kto wyciągnął, jako brat,
„Dwoje ramion do tych chat;
„Temu tylko kosa krzywa,
„Kto w przyszłości wierzy żniwa...
„Kto po nocach cichych słucha,
„Przy ście zorzy, tchnienie ducha
„Komu lemiesz, to dziś — miecz...
„A wy, zimni, z pól tych — precz!“

Tak wzniosłe zadania jak praca dla ludu, dla jego dobra i szczęścia, dla jego oświaty, wtedy tylko spełnić można, gdy serce czysta zagrzewa miłość, gdy się jest zdolnym do zaparcia się samolubnych instynktów i wolnym od niskich żądz. Dlatego też woła poetka „Do młodej braci“, której duch ma iść na przodzie i „bić tory przed braćmi ciemnemi“

„Czuwaj strażnico!“
„Czystą ci trzeba w przyszłości wejść progi,
„I strząsnąć pyły nędz ziemskich wśród drogi,
„I z ramion zrzucić żądz niskich kajdany...
„Żaden duch wielki nie był pokalany.
„Kochanek prawdy musi być dziewicą!
„Czuwaj strażnico!“

W żywszą nutę patryotyzmu Konopnicka rzadko uderza, ale i ta nuta dźwięczy sympatycznie w kilku peomatach jak n. p. w wierszu ludowym na temat sprzedaży ziemi w ręce niemieckie, w którym wieśniak nasz kończy argumentem:

„Nie sprzedam ci roli!
„Weź, Niemcze talary...
„Kto ziemię sprzedaje,
„Nie naszej jest wiary.“

Zdaje się też, że poetka nie trwoży się o to, iżby naród miał paść pod naporem prześladowczym i naciskiem przemocy, byle sam w sobie się wyrabiał i miłością bratnią był w sobie spojony. Nad wszelkie klęski gorszą byłaby dla

nas w jej oczach klęska bratniej nienawiści, skoro woła w „Modlitwach“ do Boga:

„Ześlij nam raczej wszystkie Twoje klęski,
„Niechaj tu chodzim, jak hufiec męczeński,
„Bladzi od płaczu — i od smutku mgliści:
„Lecz odejm od nas — ducha *nienawiści!*“

Wznosząc się za biegiem myśli Maryi Konopnickiej ponad poziom na jakim obecnie ludzkość się znajduje, w strefy jej marzeń i pragnień, widzimy niestety, jak daleką jest droga do urzeczywistnienia ideałów. Ale ideały takie, jakie nam ona odsłania lub też przypomina w swych poezyach, powinny nam i ludzkości przyświecać, dopóki naprzód dążyć pragnie, a gdy potomność wzbić się zdoła wyżej i zbliżyć się do szczytnych celów poetki, to w każdym razie wspominać będzie ku jej chwale, że i ona do śmiałych lotów potężnych dostarczyła skrzydeł.

Pretwicz.

Przy tej sposobności przytaczamy jeden z najpiękniejszych poematów jubilatki, zaliczony słusznie do pereł naszej poezyi a noszący tytuł:

Do kobiety.

Czy wiesz, ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyla pustota,
Co znaczy: „kocham“ — to najświętsze [słowo,
Co pada z piersi, jako strzała złota,
I, jak królewskiej purpury zasłona,
Oddziela ciebie, wzruszeniem różową,
I drżącą snami szczęścia dziewiczemi,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi,
Byś otworzyła jednemu ramiona?

* * *

Czy wiesz ty o tem, motylu i kwiecie,
Poranków wiosny, ty śpiewna ptaszyno,
Że ta godzina, w której usta twoje
Szepcą to słowo, jest cudów godziną?
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje,
Że róże w pąkach płonią się wiosenne,
Że dziwne mary, rozwiewne i senne,
Ciałem się stają pod drżącą twą dłonią?
Że w twej źrenicy, jako w pryźmie słońce
Życie odbija blasków swych tysiące,
I załamuje promień brylantowy?...
Że noc koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje [rosach?
Że twem wzruszeniem drżą gwiazdy [w niebiosach?

* * *

Czy wiesz ty o tem, że słowo to ciebie
Czyni kapłanką przeczystych ołtarzy?
Że to uczucie, co łuny dziewicze
Rzuca na białość liliową twej twarzy,
I dyamentową skrą w oko wybłyska,
Nietylko szczęściem jest, lecz złotą wagą,
Co byt wszechświata utrzymuje w ruchu;
Pierwszem zarzewiem wielkiego ogniska,
Co świat ogarnia blaskami swojemi,
Pierwszem ogniwem w stworzenia łańcuchu?
Czy wiesz, że kiedy zmierzchy tajemnicze
Wydały kształty młodzieńcze tej ziemi,
Co stała jeszcze wśród chaosu nagą;
Najpierwszem słowem, jakie Bóg na niebie
Rzekł do niej, było słowo: „kocham [ciebie!“

* * *

Posłuchaj! „kocham“ to nie znaczy wcale:
„Chcę być pieszczoną w twym domu [królową:
Chcę iść przez życie drogą kwieciem [słaną;
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale;
Chcę, by mi słonko świeciło co rano;
Chcę, by co wieczór lampę dyamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową;
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał; i zawsze witał mię uśmiechem;
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z sło- [wikiem;
Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu:
Chcę, byś był moim cieniem, mojem [echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolni- [kiem....“

* * *

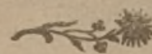
Nie! „kocham ciebie!“ to znaczy, chcę [z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą
I nieść ci pokój, i ciszę, i zdrowie.
„Kocham“ to znaczy: twoje ideały
I twoje cele są także mojemi;
Pracujmy razem, by rozświt dnia biały
Prędzej rozbłysnął na ziemi!
Chcę, by mą drogą była twoja droga,
Mojem pragnieniem były twe pragnienia;
Chcę, byś był głosem mojego sumienia,
I wiódł mnie z sobą do Boga.
Chcę, byśmy, lecąc w uścisku wzajemnym,
Jako dwa duchy, w dziedzinę wieczności,
Rozpromienili na świecie tym ciemnym
Gwiaździste szlaki przyszłości.
Chcę przez twą wiedzę mój umysł roz- [szerzyć,
I słowo twoje chować, jak przysięgę;
Chcę z tobą marzyć, i tęsknić, i wierzyć
W ducha niezłomną potęgę.
„Kocham“ to znaczy: chcę z tobą po- [dzielić
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści;
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić,
I tarczą być twojej cześci.
Chcę na twych piersiach być, jak róża [biała,
W której płomyczek tajemniczy pała,
I chcę być, jako pieczęć rubinowa,
Na ustach twoich bez słowa...
„Kocham“ to znaczy, chcę w cichym [zakątku
Żyć zapomniana, byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną.

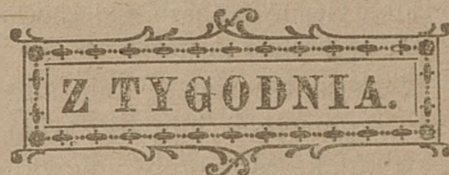
* * *

„Kocham cię“ znaczy: o wolny ty duchu!
Ja nie chcę skrzydeł twych krępować [jasnych,
Przykuwać ciebie do trosk nędznych, [ciasnych,
Ciebie, coś przywykł na myśli podmuchu
Wzlatać, jak orzeł, po najwyższych [szczytach
I gniazdo zwijać w błękitach.
Ja nie chcę ciężyć tobie, jak kajdany,
Wiązać cię z ziemią żelaznym łańcuchem;
Chcę tylko, byś mnie uznał, ukochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem.
„Kocham“ to znaczy: ja chcę być dla [ciebie
Prawdy, i dobra, i piękna zaklęciem,
Umiłowanem twej duszy dziecięciem,
Twojem marzeniem o niebie.
Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną;
Chcę być twą myślą, i ramieniem twojem,
I przyjacielem, i żoną.

* * *

Jeśli w twych piersiach, kobieto, nie bije
Serce do takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty: „kocham“ nikomu na ziemi;
Bo ten, co z tobą połączy swą dolę,
Patrząc na ciebie oczyma smutnemi,
Nigdy nie powie, że żyje,
I duchem wzrósłszy w poziomą niewolę,
Nie zrobi nic dla przyszłości.





Dziwnie się plecie, na tym Bożym świecie...

Nie minął jeszcze tydzień od wywiezienia biskupa Zwierowicza w głąb *Rosyi*, a oto jeden z domniemanych sprawców gwałtu tego, rosyjski minister spraw wewnętrznych *Sypiagin*, poległ od kuli skrytobójcy — i to nie czasem Polaka-katolika, lecz prawosławnego Rosyanina. Gwałt był ciężki, ale i kara szybka i sroga. Wszelkie okoliczności

zamachu tego przemawiają za tem, że nie jest zbrodnia jednostki, lecz obmyślany i przygotowany naprzód akt spisku rewolucyjnego. Morderca, Bałrzanow czy Małyszew, student uniwersytetu kijowskiego, doznał wprawdzie na sobie samym całej surowości władz rosyjskich; ojca jego wywieziono na Sybir a jego samego wzięto w sołdaty za udział w rozruchach studenckich, mimo to atoli z całą pewnością przypuszczać można, iż wykonał zamach nie z zemsty osobistej, lecz jako „wybrany“ jakiejś akcyi zbiorowej. Szczegóły zamachu znane są już z telegramów pism codziennych. Strzały były celne, minister skonał w chwilę później. Obiegają pogłoski, że Małyszew sam sobie życie odebrał w więzieniu, ale nie wiadomo, o ile zasługują na wiarę. To pewna, że zamordowany minister sam ściągnął na siebie ten los straszny. Był to bowiem jeden z najbardziej znienawidzonych ludzi w Rosyi, a znienawidzony dlatego, że wszelki ruch wolnościowy zwłaszcza między młodzieżą starał się uśmierzyć szaszką kozacką i knutem, że był nieprzejednanym wrogiem swobód politycznych i postępu. Jemu to przypisują winę owych strasznych okrucieństw, jakich się dopuszczały niższe organa policyjne na studentach, dopominających się większej wolności; on to poddał rządowi myśl wcielania opornych do wojska lub internowania po dalekich miastach.

Dalecy jesteśmy od tego, aby usprawiedliwiać takie mordy polityczne, przeciwnie potępiamy je jaknajsurowiej, a jednak w tym wypadku, zwłaszcza teraz po wywiezieniu biskupa Zwierowicza, trudno nam wzbudzić w sercu współczucie dla tej ofiary takiej zbrodni. Mimowoli też nasuwa się stare nasze przysłowie, że tak się każdy wyśpi, jak sobie pościeli...

Sprawa ta ma jednakże bardzo poważny polityczny charakter. Wszystkie wieści, jakie nadchodzą z Rosyi, zapewniają, że sytuacya wewnętrzna jest tam bardzo groźna. Cała inteligencya stoi po stronie studentów, a przyłączyły się do nich także liczne rzesze robotnicze, przymierające głodem przy obecnym zastoju w przemyśle. Istnieją podobno szeroko rozgałęzione spiski, które mordami skrytobójczymi zamierzają złamać obecny system absolutny. Wysłannicy tych spisków zamordowali przed dwoma laty ministra oświaty Bogolepowa i strzelali do Pobiedonoscewa, oni też wykonali teraz trzykrotnie zamach na policmajstra w Moskwie, jenerała Trepowa. Rewolucya wisi niejako w powietrzu W kilku okręgach przyszło już do poważnych rewolt ludu, a podobno i wojsko się burzy i dwukrotnie już odmówiło posłuszeństwa, gdy kazano mu strzelać do ludu.

Car tymczasem przechyla się coraz bardziej na stronę nieubłaganych reakcyonistów i ani słuchać nie chce teraz o reformach w duchu liberalnym. Wynika to wprost z nominacyi następcy Sypiagina. Otóż następcą tym został senator *Plehue*, dawny prokurator, który jako taki dał się we znaki Polakom w Warszawie a w ostatnim czasie Finlandczykom. Jest to prawa ręka Pobiedonoscewa, a pod względem nienawiści do ruchu rewolucyjnego przewyższa nawet zamordowanego poprzednika. Z góry więc przewidywać można, w jakim duchu rządzić będzie. Czy to atoli nie przyspieszy katastrofy? Działacze petersburscy zapominają o tem, że duch wolności nie da się przytłumić środkami gwałtownymi. Im więcej go się gnębi, tem silniej wybucha. I w Rosyi tak będzie, jeżeli rychło w kołach rządowych nie zapanuje opamiętanie.

Że sytuacya musi tam być poważną, wnosić trzeba i z tego, że Rosya dobrowolnie ustąpiła z *Mandżuryi*. Rząd rosyjski nie byłby zapewne uczynił tego, gdyby nie obawa przed możliwemi zaburzeniami w kraju.

Rzecz dziwna, że odgłosy rewolucyi dochodzą dziś równocześnie z dwóch stron, zarówno z absolutystycznej Rosyi jak i z parlamentarnie rządzonej *Belgii*. I w tym kraju wydaje się ludowi, że niema dosyć praw politycznych, więc żąda ich więcej. I ściśle rzecz biorąc, nie można mu odmówić słuszności. W Belgii obowiązuje prawo głosowania, które wprawdzie każdemu Belgijczykowi przyznaje głos przy wyborach, zamożniejszym atoli i bardziej wykształconym po dwa a nawet trzy głosy. Ztąd ci mają przewagę nad warstwami robotniczemi, i dlatego warstwy te tak groźnie dziś dopominają się o powszechne równe prawo głosowania. W chwili, gdy to piszemy, panuje tam cisza, cisza przed burzą. Przywódzcy socyalistyczni odradzają na razie ludowi dopuszczania się gwałtów — za to proklamowali *strejk powszechny*. I wybuchł tam rzeczywiście strejk, jakiego dotychczas jeszcze nie widziała Europa. Stanęły koła fabryk i oto blisko 400 tysięcy robotników porzuciło pracę. Rzesze te tracą dziennie *przeszło milion zarobku*, mimo to postanowiły wytrwać jaknajdłużej, aby tem zmusić rząd i większość do spełnienia żądania ludu. Rząd tymczasem ustąpić nie chce. Ma pod bronią do stutysięcy wojska i sądzi, że za pomocą tej siły pokona nawet zbrojny bunt ludu. W izbie posłów większość katolicko-konserwatywna stoi po jego stronie i wniosek o zaprowadzenie powszechnego prawa głosowania odrzuciła. Opozycya zaapelowała do króla, król jednakże milczy i pragnie pozostać neutralnym. Dziś stoją przeciwko sobie strony przeciwne pod bronią, bo i większość strejkujących uzbrojona jest w rewolwery; stoją i czekają. Co nam jutro przyniesie, nie wiadomo, gdy numer niniejszy dojdzie rąk Czytelników, sprawa już może będzie rozstrzygniętą. Tak ogromnego strejku długo bowiem utrzymać nie można, albo tedy strejkujący dadzą na razie za wygraną i poddadzą się twardej konieczności, albo też w całej Belgii zawrze straszna walka domowa.

Bunt ten wywołali radykaliści i socyaliści. Trudno atoli przypuścić, iżby zdołali byli tak opanować olbrzymie te rzesze, gdyby lud sam się nie oburzał na dzisiejsze prawo wyborcze. To pewna, że republikańskiego charakteru bunt ten jeszcze nie ma, że idzie wyłącznie o powszechne głosowanie. Zachodzi teraz pytanie, czy katolicki rząd belgijski dobrze robi, iż stawia opór woli ludu? Rząd twierdzi, że prawo obecne jest dobre, że powszechne głosowanie dałoby w Izbie przewagę skrajnym żywiołom i że naraziłoby Belgią na straszne przejścia. My tego zdania nie podzielamy. Lud tak światły i dojrzały, jak lud belgijski, w gruncie rzeczy przywiązany do wiary, zapewneby sam zrozumiał, że mrzonki socyalnej demokracyi nie dadzą mu szczęścia. Właśnie zaś opór stawiany słusznym jego żądaniom, pcha go w objęcia socyalistów. Powszechne głosowanie panuje już w Niemczech i we Francyi, w obu zaś krajach daleko jeszcze do przewagi socyalnej demokracyi. W Belgii zaś nigdy ona nie osięgnie władzy. Chociaż tedy sympatyzujemy z rządem obecnym, nie możemy oporu jego uznać za słuszny i mamy to wrażenie, że w dziwnem zaślepieniu wprost igra z ogniem.

I we *Francyi* wrzawa wielka. Wre tam w całej pełni agitacya wyborcza, dotychczas atoli bez zaburzeń. Galimatyasz tam taki, że ani w przybliżeniu napewno przewidzieć nie można, jaki będzie rezultat wyborów.

Układy pokojowe między przywódzcami *Burów* a rządem *angielskim* nie doprowadziły jeszcze do żadnego rezultatu. Rozmaite nawet o nich obiegają wieści. Jedne twierdzą, że rokowania już się rozbiły i że wojna pociągnie się dalej, inne, że przerwano je tylko i że jest nadzieja, iż rychło już zawarty zostanie pokój. I tu kwestya może się już rozstrzygnie, gdy niniejszy numer „Pracy“ wyjdzie z druku.

W *Niemczech* i *Prusach* nie stało się nic ważniejszego w ostatnim tygodniu, jeno bieda coraz większa. I poli-

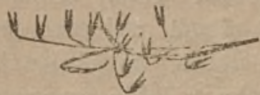
tyka zewnętrzna nie dopisuje jakoś rządowi. O załatwieniu taryfy cłowej w roku bieżącym nie ma podobno ani mowy. Nowe więc wybory odbędą się pod hasłem wyższych ceł z jednej, a podrożenia chleba z drugiej. Mimo całej tej mizeryi wewnętrznej rząd w antypolskiej swej polityce nie spuszcza z tonu. Dostał wprawdzie cierpką naukę od posłów *polskich* przy obradach nad etatem *komisyi kolonizacyjnej,* o czem piszemy na innem miejscu, ale — jak wiadomo, to go nie zraża. Snać jeszcze dufa w zasadę Bismarcka — „siła przed prawem.“ . . . . . .

. . . .

Długo jeszcze na sprawiedliwość może nam przyjdzie czekać; obecne pokolenie chyba się już tego nie doczeka.

O rzekomem nowem antypolskiem prawodawstwie i dziś jeszcze nic pewnego nie wiadomo.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Dyskusya w prasie jest rzeczą bardzo dobrą, pożyteczną a nawet niekiedy konieczną; często bowiem dopiero przez wymianę myśli i zdań pomysły krystalizują się i dojrzewają. Jeżli więc gdzie, to właśnie w społeczeństwach, znajdujących się w trudnych warunkach bytu, wymagających rozważnego obmyślania wszelkiej akcyi publicznej, prasa zdobywa sobie tym więcej zasługi, im więcej dyskutuje w sprawach publicznych. Ale prowadźże dyskusyą w Poznańskiem! Już po pierwszej próbie stracisz do tego ochotę. U nas bowiem ponad dobro sprawy zaczyna się coraz bardziej wynosić osobista niechęć, konkurencyjna zawiść, chorobliwa nawet pretensyonalność i zarozumiałość. Dawniej bywało lepiej, dziś stosunki w prasie zabagniły się aż do niemożliwości. Ztąd pochodzi, że niestety niejedna myśl dobra przepada.

W ostatnich np. dniach „Kuryer Pozn“. poruszył myśl bardzo ważną. Zaleca oto posłom naszym, ażeby w razie jeżli Imci pan hr. Ballestrem nie zechce postawić na porządku obrad parlamentu dalszego ciągu dyskusyi o *Wrześni* — posłowie nasi urządzili małą obstrukcyą i na każdem posiedzeniu żądali policzenia posłów. Wiadomo zaś, że parlament niemiecki bardzo rzadko tylko zbiera się w komplecie uprawnionym do powzięcia uchwał. Że wogóle jeszcze może cośkolwiek „uchwalać“ i załatwiać, zawdzięcza to jedynie dobrej woli posłów, którzy niby nie widzą, że w sali jest ich ledwie 40 lub 50. Gdyby tedy posłowie polscy poszli za radą „*Kuryera*“ mogliby wywrzeć wielki nacisk na parlament, gdyż stawianiem wniosków o policzenie obecnych udaremnialiby całą jego pracę.

Pomysł to dobry — naszem zdaniem posłowie koniecznie winni chwycić się tego sposobu. Byłaby to zresztą obstrukcya zupełnie *legalna* i nie miałaby nic wspólnego z krzykactwem wszechniemców w parlamencie wiedeńskim. Przedewszystkiem warto było zastanowić się nad tym projektem, dobrze go przedyskutować, rozważyć wszelkie względy pro i contra. A cóż się stało? Tu i owdzie ledwie o nim wspomniano, „Dziennik Pozn.“ zbył go znów *milczeniem.* A przecież wywołał żywe zainteresowanie nawet w prasie galicyjskiej. Wprawdzie tamtejsza prasa konserwatywno-stańczykowska surowo go zganiła, a „Przegląd“ nie mógł nawet powstrzymać wyrazu przerażenia, ale za to narodowa prasa nie poskąpiła mu uznania. I tak Nowa Reforma poświęciła mu następujące uwagi:

„Taką obstrukcyę zaleca posłom polskim „Kuryer Poznański“. — Ogranicza on ją niestety tylko do jednego wypadku, a mianowicie, gdyby marszałek parlamentu wzbraniał się dalej postawić na porządku obrad dalszy ciąg przerwanych w styczniu rozpraw o Wrześni. My jednakże nie widzimy powodu, dla któregoby posłowie polscy stale nie mieli się posługiwać tym manewrem taktyczno-obstrukcyjnym? Wprawdzie już straszne oburzenie, jakie ta rada wywołała w poznańskiej prasie niemieckiej, dało nam przedsmak furyi, jakaby się niechybnie zerwała w całej prasie niemieckiej w razie urzeczywistnienia pomysłu Kuryerowego, czy atoli obawa przed tą furyą miałaby powstrzymać posłów polskich od korzystania ze środka, który silny nacisk wywrzeć może na sfery rządowe?

„Słyszymy już na to odpowiedź, że taka obstrukcya w parlamencie niemieckim nie miałaby celu, ponieważ parlament nie wywiera wprost wpływu na pruską politykę wobec Polaków, a sprawy polskie bardzo rzadko tylko przychodzą w nim pod obrady. Takie zapatrywanie nie jest trafnem. Gdzie nie można bezpośrednio działać, tam należy użyć środków pośrednich. — Parlament decyduje przecież o wielu sprawach, które i dla rządu pruskiego ogromną mają wagę, mianowicie o sprawach wojskowych i cłowych. Uniemożliwienie uchwał w tych sprawach dałoby się więc i rządowi pruskiemu we znaki, trafiłoby w jego piętę Achillesową, a ponieważ równocześnie oddziałałoby na inne państwa związkowe, przez to już ostudziłoby nieco furor antypolski ministrów pruskich. Zresztą wedle taktyki, zalecanej przez posła Dziembowskiego, można będzie coraz częściej i sprawy polskie wytaczać przed forum parlamentu.

„Społeczeństwo polskie, tak upośledzone przez rząd w zaborze pruskim, *nie ma chyba powodu uprawiać polityki al.samitnej.*

„Przeciwnie, powinno korzystać z każdego możliwego środka, aby wywierać nacisk na rząd i dać mu uczuć siłę swoją. Względność i lękliwość nie jest tu na miejscu. Rząd bynajmniej nie odpowiada na to równą względnością. Natura pruska tam tylko pokorniejje, gdzie napotyka na opór, którego zwalczyć nie może; słabych zaś i lękliwych tem śmielej gniecie.“

Dziwna to, że właśnie w prasie naszej zaledwie wspomniano o projekcie „z obowiązku dziennikarskiego,“ a „Kuryer“ sam nazajutrz jakby się sam zaniepokoił własnego śmiałego pomysłu, tłomaczył się, że przecież w obstrukcyi takiej nie ma nic nielegalnego, że i niemieckie stronnictwa już się nią posługiwały w parlamencie niemieckim. — Naszem zdaniem, chociażby się żadne stronnictwa nie były posługiwały obstrukcyą, to nie znaczy, iż byśmy postawy takiej przybrać nie mieli, gdy jest uzasadnioną w obec chronicznej antypolskiej obstrukcyi ze strony niemieckiej.

W innej jeszcze sprawie zaznaczyła się bezkrytyczność i obojętność w prasie naszej. Stał się oto fakt smutny i przykry. Synowie obywatela, który wybitne stanowisko zajmuje w społeczeństwie naszem, przyjęli nazwisko *niemieckie.* Prasa wie o tem, lecz milczy. Wreszcie jeden organ — „Goniec Wielkopolski“ zdobywa się na odwagę i sprawę tę odsłania. Odpowiedzią na to — ogólna konsternacya. „Gońcowi“ sekunduje tylko jedno i drugie pismo prowincyonalne, reszta milczy. „Kuryer“ zapowiedział wprawdzie że się tym zajmie, dotychczas atoli nie spełnił obietnicy, „Dziennik“ zaś udał, że *go to nic nie obchodzi.* A cóż robi ta prasa, gdy gdziekolwiek jaki robotnik polski lub niższy urzędnik, dla chleba, karyery lub pod wpływem żony Niemki, zniemczy swe nazwisko, ileż wtedy „szlachetnego oburzenia“, ile wyrazów potępienia bezwzględnego. Taka to u nas przedmiotowość, takie zrozumienie narodowych postulatów. I dziwić się tu że codziennie słyszy się głosy: „*Niema u nas opinii publicznej — są tylko prądy i zdania jednostek i koteryi.*“ Mowa tutaj o synach *sekretarza pomocy naukowej* — pana radzcy *Zielewicza,* którzy swe polskie nazwisko upiększyli dodatkiem: „von Heyden“, przybranym od niemieckiej rodziny. Jakiż to przykład dla ogółu, dla naszego ludu! Czyż wolno nam się będzie oburzać, gdy coraz częściej teraz pojawiać się będą renegaci? Szczere uznanie należy się „Gońcowi,“ że poruszył smutną tę sprawę. Że zaś uczynił to jedynie „pro publico bono“ — to wynika z artykułu, jego w którym pisze:

„Mamy nadzieję, że pp. von der Heyden-Zielewiczowie — jeżeli dotąd jeszcze nie zrozumieli — natenczas prędzej, czy później zrozumieją, że to sprawa wielkiej doniosłości publicznej. Dlatego wyłącznie ją poruszyliśmy i dlatego poruszono ją na owym wiecu, gdzie słusznie wyrażono się, że to *czyn* poniekąd *gorszy od przefrymarczenia kawała polskiej ziemi, bo nowy* w swoim rodzaju objaw, *nowy* sposób frymarki narodowej, *nowy* przykład gorszący dany wyższym sferom.

„Zważmy tylko: w chwili, gdy narodowy ucisk Polaków przybrał formy nietylko bezwzględnej, ale jawnej roboty eksterminacyjnej, w chwili, gdy ekonomiczno-rasowa walka wykopała między żywiołem polskim a niemieckim bezdenną przepaść, w chwili, gdy wśród strasznych znękań i klęsk materyalnych, jedna nam

pozostała pociecha, że nie upadliśmy moralnie, w tej chwili walki o byt albo niebyt znana rodzina mieszczańska ubiega się o niemieckie szlachectwo, przybiera niemiecki przydomek... A w jakim celu? Na to czytelnik sam łatwo znajdzie odpowiedź".

Czyż można, czy wolno nam być innego zdania?

W jednym tylko kierunku prasa nasza jest zgodna i harmonijnie nastrojona i to — *w narzekaniu na los nasz i spadające na nas ciosy*. Tak np. artykuły z powodu odrzucenia *rewizyi wrzesińskiej* odznaczyły się *szczerem uczuciem dla skazanych i głębokiem odczuciem wyrządzanych nam krzywd*. Ale to nas nie zbawi! Nam potrzeba takiej samej zgodności i harmonijności także w *pozytywnej, produktywnej i obronnej pracy*.

Dzielnie pod tym względem kroczy naprzód „Gazeta Gdańska." W każdym niemal numerze poddaje czytelnikom swym zdrowe rady. I tak niedawno poruszyła ważną w naszych stronach sprawę wysławiania się ludu. Pisze o tem tak:

„Od szóstego roku dzieci nasze uczą się w szkole po niemiecku — wpaja się im tylko w obcym języku nazwy rzeczy otaczających nas. Nauka poglądu rozpoczynająca się na obrazach i przedmiotach w szkole umieszczonych podaje dzieciom wyrazy dotychczas ciasnym zakresem ich pojęć nie objęte. Dziecię przedmiotów, pokazywanych mu w szkole (i na obrazach) w domu nigdy jeszcze nie widywało, od matki prawdziwej, polskiej nazwy ich jeszcze nie słyszało! Gdy więc przypadnie później nazwać te rzeczy, znajduje się w trudnem położeniu nieświadomości — i używa przyswojonych sobie wyrazów... z biedy. Stąd mają dzieci naszego ludu: gryfle, szwamy, lezebuchy, hefty, haltry, dekle". — sznemany, wegwajzery, szyfy, matrozy, — stąd dorosły człowiek wyniósł: „szpady, szufle", — „fuksy, szymle" — „ejzembany i banofy" itd. itd. Częstem używaniem lud wyrazy tym podobne tak polubił, że proszę tylko chłopcu zabrać „heft" a dać mu „zeszyt", a służącemu dać „rydel" zamiast „szpady". A choćby służącej dziesięć razy prawić, że ma zanieść list aż na dworzec, to się pyta, czy na „banof".

„Objaw powyższy, wynik szkół niemieckich, dotkliwie kaleczy nietylko piękny język nasz polski, ale ma i to złe w sobie, że lud przyswoiwszy sobie wyrazy niemieckiego pochodzenia, staje się coraz więcej obcy gazecie i książce polskiej. Pracować tu może każdy. Szczególniej tu trzeba zważać, aby dzieci prócz w szkole i na lekcyi, nie używały innych wyrazów, jak polskich. Wzajemne pouczanie się co do nazw rzeczy i omawianie rzeczy w tej mierze po towarzystwach i w rodzinie, bez skutku nie będzie."

Zaznaczamy, że nie zbywa nam na podręcznikach odpowiednich, mających ułatwić pracę nad utrzymaniem w czystości języka ojczystego. „Gaz. Grudz." zaleca pilne czytanie książek wyborczych a gazet w szczególności.

Na zakończenie przytaczamy charakterystyczną wzmiankę „Lecha" gnieźnieńskiego o *procesach politycznych* u nas. „Lech" pisze:

„W maju rozpatrywaną będzie przed sądem gnieźnieńskim sprawa ucznia szewskiego Wiśniewskiego i Kantorskiej. Skład sądu będzie częściowo inny. Referent wyroku p. Naudé przesadzony został do izby cywilnej, a p. Wuttke przeniósł się na Szląsk. W miejsce ich wstąpili do izby karnej pp. sędziowie Arlt i Wiesand. Natomiast pp. Kah, Manthey i Regenbrecht będą znowu zasiadali. Co do p. Kah to domyślać się musimy, że został przegłosowany, bo inaczej nie podobnaby zrozumieć jego zapewnienia, przesłanego do gazet polskich w dwa dni po ogłoszeniu najostrzejszego wyroku, jaki kiedykolwiek sądy wydały, o swej życzliwości dla ludności polskiej. *Lecz w procesach dzieją się niespodzianki i nic nie można przewidzieć.* Doświadczyliśmy tego na własnej skórze. Pięciu sędziów gnieźnieńskich nie mogło nic karygodnego dopatrzyć się w naszym artykule: „Czytajcie, bo ważne". Tymczasem pięciu sędziom poznańskim zdawało się, że zachodzi wielka zbrodnia, bo nawet więzieniem redaktora naszego ukarali, chociaż kodeks karny karę pieniężną w tym razie także dopuszcza.

„Z procesami jest jak z loteryą. Szczęście jest ślepe. Takie ślepe szczęście ma hrabia Pückler, antysemita, który w przemówieniach swych każe żydów kopać i bić, ale przez to nie podnieca do gwałtów jednej klasy ludności przeciwko drugiej, bo tłomaczył się tem, że to ma być obrazowo powiedziane, i sąd go też uwolnił."

Mądremu dość na słowie!

B. M.

Sprawy ekonomiczne.

Zupełnie jak u nas!

Mimo dawnych strat w ziemi, mimo komisyi kolonizacyjnej, spore jeszcze obszary matki-żywicielki w naszem znajdują się ręku. Posiadamy jeszcze kilkaset majątków większych, przeszło tysiąc średnich a mniejszych, t. j. gospodarstw włościańskich, nie licząc nawet Slązka — kilkadziesiąt tysięcy. Zarówno zaś w większych jak i w mniejszych gospodarstwach ciągły widać postęp. Podnosi się kultura, podnosi wydajność, mnożą się potrzeby, których dawniej nie znano. Czasy, w których wszelkie porządki gospodarcze wykonywał kowal miejscowy przy pomocy kołodzieja, zwanego „stelmachem," dawno minęły. Dziś żadne gospodarstwo, czy to większe czy mniejsze chociażby pięćdziesięcio - morgowe, nie może się już obyć bez machin. Na tysiące też jeżli nie na dziesiątki tysięcy obliczyć trzeba wszystkie owe machiny i narzędzia pomocnicze, jak to młocarnie, sieczkarnie, wialnie, młynki, śrótowniki, drylowniki, poprawne pługi itd. itd., które rok rocznie zakupują tylko *polscy* gospodarze u nas.

Spodziewać by się więc należało, że przynajmniej jeden przemysł mógłby u nas kwitnąć i wspaniale się rozwijać, to jest wyrób tychże maszyn i narzędzi rolniczych. A jak ma się sprawa ta w rzeczywistości? Mamy ot ledwie jedną wielką fabrykę i kilka średnich lub mniejszych, wszystkie zaś narzekają na brak odbytu i zamówień. Nie ulega tedy wątpliwości, że krocie, jeżli nie miliony płyną za takie machiny i narzędzia rok rocznie w *niemieckie* ręce. A tyle przecież deklamujemy o „popieraniu swoich," o wytwarzaniu własnego przemysłu, o emancypowaniu się z pod ekonomicznej przewagi Niemców...

Nie tylko zaś u nas tak się dzieje. Podobnie smutnie dla nas, a wesoło dla Niemców przedstawia się rzecz w *Królestwie*. W ostatnim dopiero czasie ta zaszła różnica, że tam zabrano się nareszcie do działania, u nas zaś deklamuje się po dawnemu, a nic się nie czyni.

Z inicyatywy prezesa sekcyi rolnej, zbierają się tam teraz na wspólne narady przedstawiciele rólnictwa z fabrykantami machin i narzędzi rólniczych, aby wzajemnie się poinformować, co w dziedzinie potrzeb rólnictwa produkuje przemysł krajowy i w jakim kierunku należałoby go uzupełnić i rozwinąć.

Narady te rozpoczęły się od silnych nieporozumień. Rólnicy zarzucali fabrykantom, że nie obsługują ich należycie, fabrykanci rólnikom, że sami właściwie nie wiedzą, czego chcą. Ponieważ jednakże z obu stron nie brakło dobrej woli, spór przybiera charakter coraz bardziej przedmiotowy. Już też wybrano wspólną komisyą celem wyjaśnienia sprawy.

Warto rzeczywiście przytoczyć to, co o tych naradach i ich wyniku pisze znakomity ekonomista pan *Antoni Donimirski* w warszawskiem *„Słowie,"* już dlatego, że wszystko to dosłownie niemal stósuje się do położenia u nas, a więc i dla nas może być *wskazówką i nauką*.

Pan Donimirski pisze:

„W zarzutach, które sobie czyniono na wspólnych obradach, było dużo prawdy, choć może tu i owdzie przesadzono. Wyroby fabryk krajowych z pewnością tu i owdzie co do dokładności pozostawiały do życzenia, ale i to nie ulega kwestyi — według zdania znawców — że bardzo często *najzupełniej czyniły zadość potrzebie, że nie różniły się dobrocią od wyrobów zagranicznych, a mimo to* nie znajdowały tego pokupu, na jaki zasługiwały.

„Ze wspomnianych wspólnych rozpraw dowiedzieliśmy się, że były czasy, kiedy krajowe narzędzia rolnicze przekładano nad zagraniczne, nie skarżono się ani na materyał, ani na wyrób. Wprawdzie od tego czasu technika wydoskonaliła się znacznie, może stosunkowo zagranicą bardziej, niżeli u nas: ale my, co prawda, nie widzimy najmniejszego powodu, dlaczego przy dobrych chęciach i pracy niejakiej, i nasze fabryki nie mogłyby podążyć za przykładem zagranicy.

„Niewątpliwie jednym z głównych powodów niedomagań tej gałęzi przemysłu jest *brak kapitału*. Nasi kapitaliści, zrażeni kilku nieudolnemi próbami, nie badając, czy przyczyn niepowodzenia nie należało szukać w nieudolności przedsiębiorców, odsunęli się od udziału w fabrykacyi machin i narzędzi rólniczych. Dowodzi tego fakt, iż prawie wszystkie istniejące fabryki powstały z *warsztatów*. Jest to wprawdzie bardzo normalne, ale na obecne wymagania *wystarczające*.

„Byłoby tedy wielce pożądanem, aby nasi kapitaliści, *mianowicie o ile ich mamy pomiędzy rolnikami*, zwrócili uwagę na fabrykacyę machin i narzędzi rolniczych i poparli je. Techników nam dziś chyba nie zbraknie. Słyszymy, że dziś do fabrykacyi potrzeba kosztownych narzędzi, machin, sztanc i t. p. i że fabryki amerykańskie dlatego dostarczają materyał doskonały, ponieważ się specyalizują.

„Ależ w takim razie idźmy za ich przykładem, niech nasze fabryki porzucą uniwersalność i też się specyalizują. W obec potrzeb olbrzymich rolnictwa i przy specyalizowaniu się, na szeroki zbyt liczyć można.

„*Najważniejszą jest rzeczą, aby nasi rolnicy zwrócili się z zamówieniami do fabryk miejscowych.* Nie ulega najmniejszej kwestyi, że nasi rolnicy bardzo często rządzą się *zupełnie nieuzasadnionemi uprzedzeniami do wyrobów fabryk krajowych.* Wiemy od specyalistów nieuprzedzonych, że są liczne machiny i narzędzia w fabrykach krajowych równie dobrze wyrabiane, jak zagranicą, a jednakowoż rolnicy wolą brać zagraniczne.

„*Tego fatalnego uprzedzenia, które na każdym kroku odczuwać się daje i jest jedną z głównych przeszkód w rozwoju przemysłu krajowego, koniecznie pozbyć się należy. Chyba dziś hakatyści nas z tej wady wyleczyć powinni.*

„Fabrykańci miejscowi na wspólnych naradach podnieśli zarzuty, że odbiorcy machin i narzędzi rolniczych często sami nie wiedzą, czego chcą. Zarzutowi temu nie można odmówić pewnej słuszności. Ileż to razy zdarzyło nam się przypatrywać wyszukiwaniu i targowaniu maszyn n. p. na wystawach rolniczych. Kupujący krytykował wszystko, nareszcie kupił najgorsze jakieś narzędzie lub machinę.

„Opinie w tym względzie są zupełnie nieustalone, a moda tu większą, niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie odgrywa rolę.

„I o tem zaś zapominać nie można, że u narzędzia rolniczego bardzo często *warunki miejscowe*, np. *siła pociągowa, gleba, rodzaj obsługi odgrywa ważną rolę, a to wszystko fabryki krajowe bardziej uwzględnić mogą i uwzględniają, niż zagraniczne.*

„Jeżeli tylko nasi odbiorcy przyjmą zasadę, że, o ile możności u swoich zaopatrywać się należy, i pozbędą się uprzedzeń, sprawa rozwoju naszego przemysłu dużo zyska. Nasze fabryki machin i narzędzi rolniczych dotychczasowe powodzenie swoje zawdzięczają w znacznej mierze odbiorcom włościanom, którzy w takich sprawach mają zmysł praktyczny.

„Nie wątpimy, że ostatnie narady sprawę całą na dobrą sprowadziły drogę, z której już nie zejdzie."

Tak dzieje się w Królestwie, u nas, jak już zaznaczyliśmy, nic się nie czyni w tym kierunku. My zaś chyba więcej mamy powodu do wyemancypowania się z pod przewagi obcych, niż Koroniarze. I u nas mogłoby istnieć z powodzeniem *kilka wielkich fabryk*, dawać chleb i zarobek setkom ludu polskiego, wypieranego dziś z zachodu. Słowami naturalnie nie dokaże się tego, na to potrzeba *czynów*, a jak długo na te czyny czekać będziemy? *I. K. M.*

KRONIKA.

Przeżyliśmy ciężki tydzień natężenia władz umysłowych, natężenia, jakie się rzadko objawiało nawet w chwilach wielkich narodowych i społecznych zagadnień. Nigdy jeszcze zapewne dyskusya publiczna, ilekroć chodziło o sprzedaż choćby wielkich dóbr w ręce komisyi kolonizacyjnej, nie była tak ożywioną, jak w ostatnich dniach nad przetłomaczeniem niemieckiego wyrazu „Restgut" na polskie. Dziesiątki i setki głów poczęły pracować, ażeby co wcześniej pilną tę kwestyą rozwiązać. I posypały się propozycye jak z rogu obfitości. Kto coś znalazł w swej głowie w tej walnej potrzebie, niósł spiesznie w darze na przygotowywane chrzciny „restgutu." Najlepiej nazwać „restgut" resztkówką — mówili jedni; jeszcze lepiej ostatnim przysiołkiem, ostatkiem majątku lub ostatkiem sioła — mówili drudzy; a znaleźli się i tacy, którzy chcieli mieć „resztkodwór", „dworoskraw", „pozostałki", „resztówki" a nawet *resztkowiny* dla zaradzenia słownikowej biedzie.

Gdy wreszcie pomysły poczęły się wyczerpywać i słabnąć w Poznaniu, pospieszyły w sukurs wytrawni eksperci z prowincyi, zalecając wyrazy „środzina", „ośrodek" itd.

Słowem wszystkie prawie siły nasze inteligentne pracować poczęły wspólnie z głównym motorem w „Dzienniku Poznańskim" nad pytaniem jak się ma „restgut" po polsku nazywać, a przestano już zastanawiać się skrupulatnie nad tem, jak się nazywać powinni panowie Zielewicze. Ten i ów jeszcze tylko kiwał sobie głową, ale pozostała reszta, czy „resztkowina" naszych majątków duchowych popadła w bierność. I byłoby już o tej kwestyi cicho, jakby makiem posiał, gdyby p. radzca dr. Zielewicz, oburzony tem, że się opinia oburzyła na przybranie niemieckiego przydatku do polskiego nazwiska, nie był obwieścił w „Dzienniku" tego, co jako rzecz pamiętną dosłownie przytoczyć warto:

„Pewien odłam prasy wielkopolskiej, inspirowany przez niegodną prywatę, szarpie moje nazwisko i cześć moich synów.

Nie przyznając nikomu prawa do wdzierania się w sprawę czysto wewnętrzną, rodzinną, podnoszę przeciwko oszczerczym napaściom protest i oświadczam niniejszem w swojem i moich trzech synów imieniu, że prawo dodawania przydomku Heyden do ich nazwiska rodzinnego nie ma i mieć nie będzie najmniejszego związku z ich stanowiskiem narodowem.

Publicznych i prywatnych krzywdzicieli naszego honoru uważamy za niezdolnych, aby nam mogli dać jakiekolwiek zadosyćuczynienie za wyrządzoną nam krzywdę.

Dr. Ignacy Zielewiez.

Poznań, 23 kwietnia."

Powyższe obwieszczenie „Dziennik Poznański" zamieścił bez żadnego od siebie dopisku i słusznie pozostawićby je można śmiało bez komentarzy. Jedno chyba tylko podkreślić warto, że owi „publiczni i prywatni krzywdziciele" nie „szarpali" nazwiska, tylko wyrażali otwarcie, iż w nazwisku „von Heyden-Zielewicz" dla nas Polaków „von Heyden" jest za wiele. Nie zauważyliśmy natomiast, iżby ktośkolwiek gwałtem szarpał i usiłował urywać owe dwa słowa „von Heyden" tym, którzy je chcą mieć.

Oprócz tej głośnej nowości pod postacią obwieszczenia powyższego, słychać o innej jeszcze cichej i na pół tajemnicą pokrytej. Oto w pewnych kołach polskich uczuwających nieokreśloną bliżej wdzięczność dla cesarza Wilhelma przemyśliwają podobno nad tem jakby to najlepiej postarać się o udział w ceremoniałach podczas pobytu monarchy pruskiego w Poznaniu. Mówią też, że w tych kołach marzą niektórzy o wielkiem święcie pojednania z „uciskaną dotąd przez Polaków niemczyzną, o wielkiem święcie braterstwa z hakatystami.

W jakiej formie przedstawić narodowi swoje projekty i propozycye, na razie jeszcze niewiadomo, słyszy się tylko ogólnie, że „się coś święci" i że „jakoś to będzie."

Chochlik.

Słówko o więźniu.

Założyciel i wydawca naszego pisma, mocą zapadłego w grudniu wyroku, dzieli obecnie los uwięzionych redaktorów. Spadł na niego wyrok surowy za to, że usiłował osłonić przed karą przyjaciela swego i redaktora „Pracy“, dra Kaźmierza Rakowskiego, a poszedł do kaźni tą samą koleją, którą szli inni, broniąc narodowej sprawy.

Zapewne na miejscu będzie i zgodne z życzeniem Czytelników, że w chwili, gdy go na czas dłuższy ubyło naszemu wydawnictwu, poświęcimy choć kilka słów wspomnieniu o jego pożytecznych usiłowaniach.

Dużo już było u nas pism tygodniowych illustrowanych i nieillustrowanych. Były „Przyjaciele ludu“, „Piasty“, „Sobótki“, „Tygodniki“ i „Przeglądy“ — a wszystkie po kilku latach życia znikały z widowni. Nic dziwnego więc, że gdy ukazał się pierwszy numer „Pracy“ i temu pismu nie wróżono pomyślnej przyszłości. A cóż się stało? Oto nietylko przetrwała ona pierwsze lata dziecięctwa swego, lecz rozwijając się stopniowo, rozrosła się z biegiem czasu do rozmiarów, jakich żadne z wymienionych poprzednio pism nigdy nie miało. Dziś „Praca“ należy do najpoczytniejszych pism nietylko w zaborze pruskim, ale wogóle w całej Polsce. Porówno podwoje pałaców jak drzwi chat stoją dla niej otworem, wszędzie jest miłym, upragnionym gościem i stała się prawdziwym polskim *organem narodowym* w całem tego słowa znaczeniu. Czytają ją nietylko w Księstwie, ale i w Prusach Zachodnich i na Ślązku, zjednała sobie Warmią oraz inne kresy nasze; liczy setki abonentów w Galicyi, chociaż tam pism podobnych doprawdy nie braknie, rozchodzi się nawet po Królestwie, chociaż tam tylko ukradkiem. I bracia nasi na obczyźnie, w Saksonii, Westfalii i nad Renem, nawet w Ameryce północnej i Brazylii uważają ją za dobrą i wierną przyjaciółkę swoją; słowem widać ją wszędzie, gdzie żyją w tęsknocie oderwani od pnia ojczystego bracia nasi.





Marcin Biedermann.

To sukces wielki, do którego potrzeba dużo energii, dużo zapału, poświęcenia i pracy, sukces, którego, jak doświadczenie uczy, same siły redakcyjne nie osięgają.

I dawniej przecież nie brakło pismom umiejętnej współpracy, nie zbywało im na dobrej woli, uczciwej tendencyi i chęci szczerej, służenia narodowemu dobru, a ileż to razy marniało dzieło dobrze poczęte! Ileż na to przykładów, że najlepsza nawet redakcya nie zdoła pismu zapewnić powodzenia, ani nawet bytu, jeźli z nią nie idą w parze zdolności wydawnicze. A tych właśnie zdolności, obok cennego zawsze przymiotu redakcyjnej inicyatywy i pomysłowości, posiada nasz wydawca dużo.

Pismo założyć łatwo, ile atoli pracy i zabiegów wymaga utrzymanie go przy życiu, tego nie zdoła zrozumieć nikt, kto nie zajrzał bliżej za kulisy wydawnictwa takiego. Trzeba mieć wiele energii i wytrwałości, wiele znieść nieraz przykrości i goryczy nawet.

P. Biedermann zapragnął dać społeczeństwu pismo *polskie*, któreby po *polsku, śmiało i otwarcie* przemawiało i nielękało się złości wrogów. I takiem też pismem stała się „Praca.“ Czytelnicy nasi wiedzą, jakie za to spadały klęski na pismo i jego wydawcę. Redaktor za redaktorem szli do więzienia, a koszty sypały się tak obficie, że suma ich równa się poważnej fortunie. A cóż mówić o bezustannych szykanach, konfiskatach i rewizyach! Nieraz w nocy lub wczesnym rankiem budzili wydawcę — goście w pikielhaubach, penetrując wszystko i psując cały porządek pracy i zajęć.

Potrzeba dużo równowagi, ażeby się wśród takich okoliczności nie zniechęcić, nie zrazić, a wytrwać i pokonywać wzmagające się trudności. Gdyby przynajmniej przykrości i trudy równoważyły choć w części korzyści materyalne. Ale jakże mówić o zyskach, gdy je pochłaniają kary wysokie i ogromne wydatki, jakie się zwykły łączyć z procesami prasowemi.

Chyba więc tylko szczere umiłowanie podjętego zadania i przeświadczenie, że pożytek dla ogółu, dla sprawy ojczystej dostateczną jest za wszelki mozół nagrodą, zdoła podtrzymać silną wolę, jakiej wymaga rozwój wydawnictwa.

Niewątpliwą zasługę oddał p. Biedermann sprawie Górnego Ślązka, zakładając dla dzielnicy tej pismo z cechą wyraźnie narodową. Przez „Górnoślązaka“ złamał, a przynajmniej podciął stanowczo przesąd stary, że w tej dzielnicy piastowskiej sprawa polska jest nierozerwalnym węzłem związana ze sprawą i interesami niemieckiego Centrum.

Trudno przeniknąć dalszy rozwój stosunków narodowościowych na Ślązku, ale to pewne, że węzeł gordyjski, który krępował tam narodowego ducha na wpół jest przecięty. „Górnoślązak“ zrobił wyłom w nienaturalnym sojuszu z Niemcami na Ślązku, sojuszu, któremu od lat wielu towarzyszyła haniebna giermanizacya. Rodowici synowie górnośląskiej ziemicy, którzy przejęli pismo to i przenieśli na grunt rodzimy, niechaj dokonają reszty!



P. Reszka. P. Hanslik. M. Piekacz.
J. Kowalczyk. M. Biedermann. Ligoń.

Założyciel „Górnoślązaka“ wraz z nowonabywcami, rodowitymi synami górnośląskiej dzielnicy.

Wydawca „Pracy,“ idąc do więzienia i zawiadamiając o tem Czytelników, zaznaczył, że pragnie po odcierpieniu kary zdwojonemi siłami pracować nad ulepszeniem i rozwojem wydawnictwa. Pragnieniu temu odpowie zapewne życzliwość wszystkich Czytelników, których łączy z „Pracą“ duch, jaki i w więzieniach nie gaśnie.

Redakcya.



Nocna parada.

I.

Północ bliska — dobosz zmarły,
Budzi się i rzuca grób;
Trzy mogiły się rozwarły,
A nad każdą bębni trup.

Pałki brzęczą — urga bez przerwy
Kość opadłych z ciała rąk;
To pobudka — z nią najpierwej
Apel zmarłych tętni w krąg.

Bęben znowu bić przestaje:
Echa dziwny wtórzą grzmot.
Wśród parowu zmartwychwstaje,
Sto poległych strzelców rot.

Ci co leżą pod biegunem,
Gdzie ich skrył Kremlinu śnieg,
Wstają, wstają! a całunem
Trzęsą aż pod Wisły brzeg.

Ci co pod Arabji piaskiem,
Których grzebie Nilu muł,
Wszyscy w marsz; pod nocnym brzaskiem
Z chorągwiami lecą współ!.

Rzym, Neapol, Somo - Sierra,
Waterlo, paryska błoń,
Wschód i Zachód tam się zbiera,
Każdy lud i każda broń!

Przy rumaku trębacz zmarły
Budzi się i rzuca grób;
Trzy mogiły się rozwarły,
A nad każdą trąbi trup.

Miedź ryknęła — dmie bez przerwy
Wśród obszaru łąk i pól;
Na koń! na koń! przed rezerwy
Staje wódz, italski król!

II.

Północ rychło — już na koniach
Rój szkieletów pędzi w czwał;
Orły wiją się po błoniach,
Kości trzask i turkot dział!

Czaszki trupie pod szyszakiem
W ręku grot lub ostry miecz;
Ci na polu znak za znakiem,
Ci powietrzem lecą precz!

Patrzcie, patrzcie tam na grobie
Cesarz, ten co Moskwę bił;
Świetny orszak ma przy sobie,
Idzie zwolna z ręką w tył.

Niski kołpak ma na skroni,
Bystry wzrok i prosty strój:
O bok lewy szabla dzwoni,
Co w trzech światach wiodła bój.

Księżyc lśni z przywartych powiek
W sinem świetle duchów ćma;
O kołpaku niskim człowiek
Rewję tu przeglądać ma.

Błyszczą przed nim pułków krocie:
„Broń na ramię — celuj — pal!“
Wojska ciągną w bębnów grzmocie,
Jak miljony morskich fal!

„Niechaj każdy hasła słucha!“
W koło niego tłum się zbiegł;
Najbliższemu wódz do ucha
Jedno słowo z cicha rzekł.

Wszyscy pułkom zdają hasło;
„Polska hasłem naszych rot!“
„Polska!“ tysiąc głosów wrzasło;“
„Polska!“ zdala wtórzy grzmot!

III.

Północ bije — cud się zjawia:
Cichym szmerem z martwych płuc
Tak do swoich wojsk przemawia,
Dawny Franków cesarz wódz:

„Patrzcie, tam! gdzie wschodzi zorze,
„Gdzie Kościuszki sterczy grób,
„To moskiewskie błyszczą noże,
„To pożaru krwawy słup!

. . . .

„Niewdzięcznością za żywota
„Jam zapłacił wam za krew;
„Mnie zamknięte niebios wrota,
Mnie dziś karze boski gniew!

„Za to błądzę z umarłymi;
„I nie wstąpię w rajski próg,
„Aż nie zejdzie z polskiej ziemi
„Barbarzyńca Moskal wróg!“

. . . .

„Marsz na Moskwę.“ — Wszyscy lecą,
Wrą potoki zbrojnych mar;
Miecze jak pioruny świecą;
Już na tronie zadrżał car!

Lecą, gromią — między niemi
Biały orzeł, czarny kruk,
Niebo schyla się do ziemi,
I Moskali strąca Bóg.

K. Ostrowski.



Jedna noc historyi.

(Do illustracyi).

Książę Józef siedział zasunięty w głąb staroświeckiego fotelu. Na pogodnem jego czole widniała zaduma, wzrok sokoli utonął w łukach sklepionej komnaty, ucho machinalnie chwytało przytłumione a bezładne odgłosy, wdzierające się wśród nocnej ciszy poprzez szczelnie zasłonięte okna.

Naraz w oddali rozległy się przeciągłe dźwięki trąbki:

Witamy was,
Witamy was!
Jeśliście nasi, kochajcie nas!
Kochajcie nas!

Książę porwał się z miejsca i jął gorączkowo mierzyć krokami komnatę. Trąbka kończyła swoje wezwanie:

Do zwycięstw przywykli wkraczamy do was!
Obejścia względnego żądamy po was!
A wy się nic złego,
A wy się nic złego
Nie bójcie od nas!

Wszedł oficer służbowy. Książę rzucił nań pytającym wzrokiem.

— Trzeci batalion piątego pułku piechoty! — meldował oficer.

— Zkąd?

— Z nad Niemna!

— Ilu?

— Dziewięćdziesięciu!

— Kto prowadzi?

— Sierżant-major Brochocki! Wasza Książęca Mość każe wprowadzić!?

— Niech wejdzie!

Oficer roztworzył drzwi, do komnaty wszedł wyprostowany jak struna sierżant i zaraportował.

— Jan Brochocki, sierżant - major piewszej kompanii, trzeciego batalionu, piątego pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, z prawa starszeństwa prowadzący resztę oddziału...

— Zostaliście rozbici!

— W Ponarskich wąwozach! Generał Płatow natarł na strzelców konnych księcia Tarentu, ci uciekając zmieszali nasz korpus...

— Wiem, wiem! — przerwał gorączkowo książę Józef — cała nasza armia tak zginęła! Czego nieprzyjaciel nie dokonał, to zrobił głód, a w końcu Murat! — Tu przerwał nagle Poniatowski i zapytał sierżanta. — Stan twojego oddziału?

— Dwudziestu lekko rannych! Piętnastu chorych. Trzydzieści karabinów! Cztery umundurowania pełne...

— Biedacy! Nędzarze! Jak was tu i czem opatrzeć?! — wybuchnął książę a po chwili smutnego zamyślenia zagadnął z gorzkim uśmiechem.

— Buty?!

— Są?

— Ile par?

— Jeden!

Poniatowski teraz dopiero powiódł wzrokiem po wyprostowanej figurze sierżanta. Spojrzał na nogi spowinięte w czarne płachty sukienne, na płaszcz,



Książe Józef Poniatowski.

pstrzący się od różnokolorowych łat, na sznurkiem związaną ładownicę, sztukowane ledewerki, w końcu na twarz pomarszczoną, zawiędłą i dwa krzyże błyszczące na zapadłej piersi sierżanta.

— Mości poruczniku! — rzekł książę do oficera służbowego. — Opatrzeć ich czem można! Niech wypoczną. Zakład jutro otworzyć. Niech kwatermistrz weźmie ich pod szczególną opiekę! Dzielny to był pułk!

— Według rozkazu!

Naraz Poniatowski rzucił pytanie:

— A sztandar?

— Jest przy oddziale!

Cień smutnego zadowolenia przesunął się po twarzy księcia Józefa. Podszedł do sierżanta i rękę mu na ramieniu położył.

— Brochocki! Nagroda cię nie minie! Krzyże masz, za co?!

— Bitwa pod Grzybowem i tysiąc ośmset dziewięć i Smoleńsk.

— Czekaj! Brochocki... Brochocki!? Byłeś przy szturmie Zamościa... wziąłeś pułkownika austryackiego do niewoli?

— Tak jest, Wasza Książęca Mość.

— Witaj mi stary towarzyszu! Posiwiałeś mi coś bardzo! Idź, idź, wypocznij... a jutro zamelduj się!

Sierżantowi zamglone oczy dziwnym nagle zajaśniały blaskiem, powieki drgnęły nerwowo, na pergaminowej twarzy żywy wytrysnął rumieniec. Oficer służbowy skinął nań, żeby szedł — sierżant nie ruszył się z miejsca, wyprostował się tylko jeszcze bardziej i zwrócił się do Poniatowskiego.

— Wasza Książęca Mość melduję pokornie, że kasa pułkowa z nami przybyła!

— Kasa? — podchwycił żywo książę. — Co za kasa?

— Siedm tysięcy dukatów w złocie!

— Co? Uratowaliście kasę pułkową?

— Tak jest, Wasza Książęca Mość. W Rownie kiedy pułkownik Osipowski umarł, a wózka pod kasę dostać nie było można, rozdzieliliśmy pieniądze między siebie, obawiając się napaści. Piętnastu szeregowczyka w drodze się odłączyło, lecz części swoje oddali... nie brak ani szeląga!

— Brochocki — ozwał się książę, uderzony tą wiadomością — umiesz czytać?

— Umiało się, Wasza Książęca Mość, lecz już się nie pamięta!

— Zkąd rodem?

— Szewc z Warszawy!

— Jesteś podporucznikiem!

Pierś sierżanta zadygotała nagle. Chciał coś odpowiedzieć, podziękować za nagrodę, o której nie marzył nigdy, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Łza tylko ciężka, jakby brzemienna całym bólem przebytych trudów wojennych, zawisła na śronem okrytych wąsach.

Książę odwrócił się i, nie patrząc na Brochockiego, ozwał się do oficera służbowego.

— Jutro, jutro zameldować mi podpułkownika!

Oficer ujął zlekka pod ramię Brochockiego i wyprowadził go z komnaty.

Książę się smutnie zamyślił. Dziewięćdziesiąt tysięcy takich żołnierzy było przed pół rokiem niespełna! Dziewięćdziesiąt tysięcy szło za gwiazdą przewodnią Napoleona, w nim widząc całą swoją nadzieję, całą przyszłość; znosząc stale każde skinienie swego bożka, od żadnych nie uchylając się ofiar. A dziś? Ze świetnych pułków pozostały ledwie szczątki, gromady nędzarzy, dla powetowania których wyniszczony kraj pozbywać się musi resztek dawnego dobytku,



Napoleon w Lipsku.

ostatnich owoców pracy całych pokoleń. I pókiż tego będzie?

Oficer służbowy wszedł ponownie do komnaty.

— Wasza Książęca Mość, czy gońcy przybyli otrzymają odpowiedź.

Poniatowski drgnął nagle, spojrzał na założone papierami biuro i odparł z mocą:

— Niech czekają!

Oficer znikł za drzwiami. Książę Józef padł bezsilny na fotel. Głowa jego nagle rozgorzała, niepokój dziwny go przeniknął.

Ma odpowiedzieć! Musi! Lecz cóż odpowie? W którąż się zwróci stronę? Czyż oręż Napoleona nie słabnie? Wszak upadek jego jest prawie nieodwołalnym! A on, czyż kiedy wątpił, że stanie się inaczej! Ileż razy Dąbrowski z Włoch jeszcze ciągnął go do legionów!

Opierał się zawsze i ciągle... w końcu Bonaparte sam go namówił w Warszawie. Ustąpił, bo szli wszyscy. Przekładań jego nawet słuchać nie chciano. Zresztą nawet w tym odmęcie, w tej zawierusze, niczego już niepodobna było przedsięwziąć. Dla kilku zdań, słów, szał ogarnął cały naród... Teraz czasy się zmieniły! Żądają, by kraj opuszczał i szedł za niedobitkami wielkiej armii do Saksonii. A cóż się stanie z losami Księstwa Warszawskiego? Masz się stać efemerydą napoleońską, błędnym ognikiem jego zwycięskiego pochodu. Cofnięcie się pod Drezno to wydanie na łaskę i niełaskę całego księstwa. Prusacy już odstapili Bonapartego. Chwila jeszcze a dwór wiedeński nie zawaha się w interesie polityki potargać bodaj węzłów rodzinnych! I co potem?!

Poniatowski przysunął do świecy leżące przed nim papiery; jął je nerwowo przebiegać oczyma.

— Rozkaz królewski, aby z wojskiem ruszać natychmiast! Rozkaz króla saskiego, zawdzięczający koronę Napoleonowi! Rozkaz, w którym granice księstwa jakby nie istniały! Iść? Dokąd? Dla nowego S. Domingo, dla burzenia Hiszpanii czy blokowania Anglii? Gdzież kres tych pochodów, gdzie koniec ofiar i odkądże wolno nam będzie myśleć o sobie! Polityka nie zna sentymentów — dał tego dowód Bonaparte w Tylży... zamykając pokładane w nim nadzieje w nędznym ułamku dawnej Rzeczypospolitej!

— Cesarz łaskaw! Wielką wstęgę legii przysyła! Dla Poniatowskiego zaszczyt nie lada! Słowa uznania! Gorzka ironia!

Książę rzucił się gwałtownie na fotelu. Twarz ukrył w dłoniach. Myśl jedna i taż sama trawiła go, wstrząsała nim, łomotała w pulsach, uderzała w przyśpieszonem tętnie serca. Chwilami tarł czoło, targał pierścienie swych kruczych włosów, zrywał się z miejsca, to znów słaniał się jakby obezwładniony. Niekiedy wzrok jego zatrzymywał się na biurku, kędy z pod papierów i tek wyzierał rąbek znanego mu pisma, opatrzonego wielkiemi herbowemi pieczęciami...

— Propozycye jawne, zrozumiałe, proste! Byt Księstwa raz na zawsze zapewniony! Koalicya ceni wartość polskiego oręża, rozumie jego znaczenie w armii Napoleona i gdy ten dotąd stanowczego nie wyrzekł słowa, ta zapewnia mu byt...

Oczy Poniatowskiego mgłą zaszły. W mózgu jego zaczęły wirować kręgi świetlane, mieniące się wszystkiemi barwami tęczy, aż w końcu rozpłynęły się w purpurze. Purpura biła dokoła blaskiem coraz żywszym, lśniła całą przestrzeń łuną majestatu, aż wystrzeliła koroną królewską...

Książę czuł, że dość mu rękę wyciągnąć, dość skinąć, a zasądzie na tronie Piastów i Jagiellonów i kraj cały dźwignie się nareszcie z upadku a nazwisko Poniatowskich przestanie być jego klątwą.

Ręka księcia, chwytając nerwowo poręcz fotela, dotknęła ostrej powierzchni srebrnego temblaka...

Wzdrygnął się Poniatowski.

On, żołnierz wierny ziemi, która go wydała, miałby zdradzić! Miałby odstąpić tego, któremu wierność poprzysiągł! W jakichże pobudkach zdrada znaleźć może usprawiedliwienie? O czemuż lepiej nie zginął tam pod Krasnem! Czemu tam na murach Sabaczu nie ciął go Turek mocniej, głębiej! Ileż uniknąłby upokorzeń, ileż goryczy a rozczarowań!

Czy nie powinienby żołnierskiego honoru teraz poświęcić? Ha! Lecz czy to honor jego tylko? Plama zdrady pozostanie w dziejach całego narodu, plama hańbiąca, niezatarta!

Książę chwycił za burkę i kaszkiet i wybiegł na ulicę. Dziwno mu było w tych komnatach zamkniętych, straszno prawie śród groźnych sklepień i łuków.

Minął Poniatowski odwach, przesunął się pod arkadami Sukiennic i dążył przed siebie, trawiony gorączką wewnętrzną, troską, która szarpała mu mózg, a wpijała się w serce.

Mróz był na dworze. Śnieg chrzęszczał pod stopami księcia, snop pary znaczył każde drgnienie jego piersi. Cisza była głucha, ponura, złowróżebna. Hen z pod bramy Floryańskiej zrywała się krótka piosnka żołnierska, nucona głosem drżącym, smętnym, żałosnym.

Pani matko, był tu żołnierz
Miał z granatem kraśny kołnierz.
Bóg by dał! Bóg by dał!
Żeby on mnie kochać chciał.

Poniatowski poruszony dźwiękami znanej mu piosnki zatrzymał się nagle w pobliżu wieży Maryackiej, spoglądając na obumarłe cienie gmachów krakowskiego rynku, obramowane białemi liniami śniegu...

Mróz — mróz, stary towarzysz, na chwilę go nieodstępujący... Iluż dzielnych żołnierzy do snu wiecznego ukołysał, ile serc ukoił, ile zmroził uczuć! Cha! Bo czyż nie lepiej im!... Nieść brzemię odpowiedzialności po wsze czasy za jedno wyrzeczone słowo!.. Boże! Czemuś mi dał dożyć tak ciężkiej chwili?

W oddali, gdzieś na skraju Floryańskiej ulicy zamigotało światełko. Książę machinainie zwrócił ku niemu. Szedł tak bez woli, party jakąś siłą, odejmującą mu spokój, wywracającą wszystkie dawne wierzenia, z któremi wzrósł, które się stały ciałem jego ciała, duszą jego duszy. Odsłoniono przed nim nowe horyzonty, nowe nadzieje.,. to, o czem śnił niegdyś, staje przed nim jako obraz jutra!

Poniatowski, kierując się za światłem, poszedł do małego okienka, zajrzał w nie mimowolnie i wzrok wytężył.

Stary sierżant Brochocki układał się do snu. Książę stał przykuty nagle bezmyślną ciekawością.

Sierżant major zwolna rozwiązywał swój łachman żołnierski, opatrując go starannie i ostrożnie składając. I ujrzał naraz Poniatowski cały obraz przerażającej nędzy, zobaczył jedną krwawą plamę niezagojonych blizn, patrzył, jak ta długa postać wyniosłego wiarusa przeistaczała się zwolna w chudą, wymizerowaną szczapę ludzkiego ciała.

Brochocki sięgnął w zanadze. Obrazki jakieś wyciągnął, na tornistrze przed sobą ustawił i modlił się długo a gorąco. Łzy gradem spływały mu po twarzy, ręce w kurczowym drgały uścisku, siwa głowa trzęsła się i chwiała.

Książę spoglądał, przejęty tym widokiem.

— Ten ma wiarę głęboką — szepnął do siebie — Strażniczkę nieodstępnej swej mizernej duszy!...

Wtem Poniatowski rzuciwszy okiem na improwizowany ołtarzyk pochodowy sierżanta uczuł zlekka, jak dreszcz zimny go przejmuje... Ręką oczy przysłonił, aby lepiej się przyjrzeć i zachwiał się....

Obok obrazka z Matką Boską i Dzieciątkiem z jednej strony widniała zgarbiona postać Bonapartego, z drugiej był on... Poniatowski!

Wiarus skończył modlitwę i ucałował swoje żołnierskie świętości...

W oku książęcia iskry płomienne za-

Album galicyjskiego sejmu.

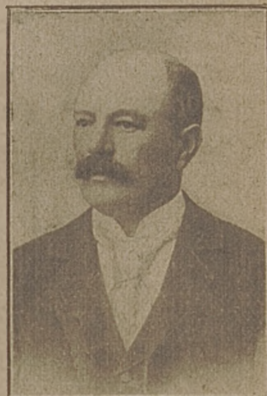
Serya I.



Michał Michalski
wice-prezydent miasta Lwowa (demokrata).



Dr. Godzimir Małachowski
Lwów (demokrata).



Tytus Bujnowski
c. k. notaryusz Pilzno (konserw).



Dyr. Jan Rotter.
Kraków (demokrat).



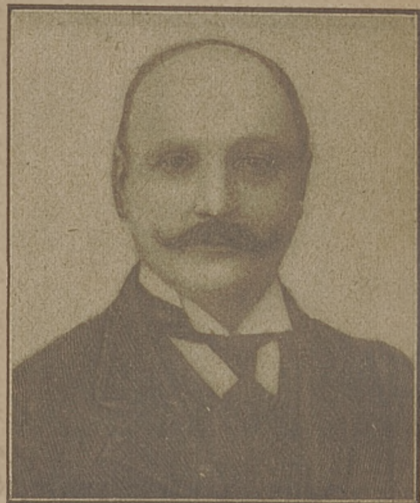
Michał Bobrzyński
Wielka własność } Kraków (konserw).



Prof, Dr. Juliusz Leo
Kraków (konserw).



Prof. Dr. Leopold Jaworski
Kraków (konserw).



Jan Kanty Fedorowicz
Kraków (konserw).

Rozpoczynamy w niniejszym numerze druk albumu, obejmującego wybitnych posłów Sejmu galicyjskiego. Ciąg dalszy podamy w następnym numerze. Przyp. Redakcyi.

błysły. Głowę wzniósł hardo, głownię szabli uścisnął i równym krokiem zawrócił w stronę odwachu...

Gdy kilka chwil później, wracając do swojej komnaty, mijał salutującego oficera służbowego odezwał się głosem pewnym, w którym dźwięczała wola męska i pewność.

— Mości porucznikowi! Gońców odprawić... Poniatowski nie ma odpowiedzi! Drugi pułk ułanów jutro w przedniej straży niech rusza na Morawy i Czechy do Drezna....

Wacław Gąsiorowski.



Do Laszki.

Czołem Laszce, o Mołojce!
W modrej toni ślicznych oczu,
W złotym włosów jej zawoju,
Raj — rajskiego coś w przezroczu.
Laszko miła, tobieć trzeba
Jasnych wód, jasnego nieba.
Ukraińskich bodaj stron!

Tobie trzeba w stepu głuszy
Na wzorzystym tam kobiercu,
Rozśpiewania w młodej duszy,
Zakochania w młodem sercu:
Za mnąż miła w moje strony,
W step bezbrzeżny a zielony,
Za mną Laszko, w dłoni dłoń!

Tam na czarnomorzu w dali
Mam po ojcach zamek stary,
Mam opodal w szumie fali
Siedm mil stepu, bałki, jary,
W stepie tabun niekiełzany,
Łańcuch mogił, dwa limany,
Laszko, Laszko, czym nie pan?

W szumie fali, wodą, błoniem
Zbiegam morza swe oboje,
Koń mi czajką, czajka koniem.
Dzisiaj łowy, jutro boje.
W szumie fali, ty tam z wieży,
Jak orlica wód bezbrzeży,
Będziesz błogo pasła wzrok.

Z Krymu więźniów ci przywiodę,
Sto wielbłądów z państw Mohyły;
Z Tyflis branki hoże, młode,
By ci przędły i nuciły,
Sam jak trusia — u kolanek
Cichy, słodki jak baranek,
Będę wtórzył w twoją pieśń.

Kiedyś szablę raz odpaszę,
Marą, snem bo ludzkie życie,
Sławiąc wespół Ruś i Laszę,
Spłoniem w błogim dusz zachwycie,
Chyżo rumak mknie w rozhuku,
Jeszcze chyżej strzała z łuku,
A najchyżej błogi dzień.

Tobie trzeba w stepu głuszy,
Tam na bujnych traw kobiercu,
Rozśpiewania w młodej duszy,
Zakochania w młodem sercu!
Za mnąż miła w moje strony
W step bezludny a zielony,
Za mną, Laszko, w dłoni dłoń.

Bohdan Zaleski.



Nasze illustracye.

Z „Krzyżaków“ Sienkiewicza.

Komuż nieznani są „Krzyżacy“ Sienkiewicza!... Znakomity nasz powieściopisarz swem piórem, iście mistrzowskiem, odtworzył w tem dziele jeden z najpiękniejszych okresów w dziejach Polski: walkę Jagiełły z Krzyżakami. Zamieszczone w dzisiejszym numerze „Pracy“ illustracye przedstawiają dwie sceny z tego przepięknego dzieła. W pierwszej bohater powieści, młody acz pełen męztwa rycerskiego Zbyszko z Bogdańca ślubuje Danusi, córce Juranda ze Spychowa, że dla pomszczenia jej matki, która „za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie ostatni dech puściła,“ przepasze się sznurem konopnym, a póty go nie zdejmie, póki trzech rycerzy niemieckich nie pobije, a hełmy ich u stóp Danusi nie złoży.

Przysięgi tej świadkami są stojący z boku stryj Zbyszka, Maćko z Bogdańca, oraz księżna Anna Danuta, córka Kiejstuta a żona Janusza księcia Mazowieckiego, która w drodze z Zatora do Krakowa zatrzymała się w gospodzie w Tyńcu. Scena ta jest niejako początkiem i zawiązkiem „Krzyżaków.“

Druga illustracya przedstawia chwilę, gdy Zbyszko, jadąc ze stryjem swym do Bogdańca, spotkał Jagienkę, córkę Zycha ze Zgorzelic, polującą konno z psami na grubego zwierza.

W obu tych scenach Sienkiewicz wprowadza do swej powieści główne postacie kobiece: Danusię i Jagienkę. Artysta-rysownik, K. Górski, przedstawiając te sceny w obrazach, wlał w nie tyle siły, prawdy i piękna, że rysunkami temi stanął w równym szeregu obok najpierwszych illustratorów europejskich.

—ski.





Spotkanie Zbyszka z Jagienką.
Według rysunku K. Gorskiego.

Wyrok śmierci w Pekinie.

(Do illustracyi.)

Myliliby się, ktoby sądził, że po ścięciu głów kilku przywódzcom ruchu bokserskiego skończyły się już egzekucye w Pekinie. Odbywają się one dosyć często, lecz pod miecz katowski podają głowy „mniejsze ryby“, głównie zaś ci, których przyłapano na gorą-

cym uczynku napaści na Europejczyków. Nieraz jednak i pomiędzy nimi znajdzie się jakiś mandaryn niższego stopnia; w takim razie egzekucya odbywa się z „większym ceremoniałem".

Między innymi skazano na śmierć mandaryna Tun-jan, oraz jego sekretarza, którym udowodniono, że utrzymywali stosunki z bokserami, grasującymi w licznych bandach w okolicach Paotingfu. Wykonanie wyroku śmierci opisuje w następujących słowach korespondent jednej z gazet francuzkich:

Na miejscu egzekucyi zebrali się w znacznej liczbie oficerowie wszystkich wojsk cudzoziemskich, znajdujących się w Pekinie, wysocy mandarynowie oraz liczny tłum Chińczyków.

Żołnierze japońscy eskortowali skazańców, wojska zaś niemieckie, angielskie i francuzkie utworzyły czworobok na miejscu kaźni. Gdy wóz ze skazańcami przybył na miejsce, odczytano powtórnie wyrok śmierci, poczem wyprowadzono ich na plac wśród czworoboku. Mandaryn starał się nadać swej twarzy wyraz pogardliwej wyniosłości, jak przystoi na prawego Chińczyka w chwili podobnej. Na dany znak obaj uklękli na piasku. Pomocnik kata odsłonił mu szyję, miecz błysnął w powietrzu i w tej samej chwili głowa winowajcy potoczyła się po piasku. Sekretarz mandaryna również poddał się wyrokowi bardzo spokojnie, chociaż widać było, iż jest prawie bezprzytomny po użyciu opium. I jego głowa w przeciągu sekundy spadła na piasek. Wojska cudzoziemskie natychmiast powróciły do swoich kwater, skutkiem czego tłum bez przeszkody dociskał się do zwłok winowajców. Pomocnicy kata przyszyli ścięte głowy do tułowiów, poczem złożono zwłoki w trumnach, które zabrali krewni, celem pochowania ich w grobowcach rodzinnych.

* * *

Chińczycy mają głęboką pogardę dla ludzi białych i tę pogardę wpajają w swoje dzieci. Słyszą one od kolebki niemal, że Europejczyk jest duchem złym, ale głupim, którego łatwo na dudka wystrychnąć można i działają też w myśl tej zasady. Konsul francuski w Kantonie, przechodząc niegdyś obok pewnego banku, usłyszał, że właściciel jego, Chińczyk nazywa go „dyabłem cudzoziemskim". Konsul udał się natychmiast do mandaryna i żądał, aby za karę zamknięto bank na miesiąc i objaśniono plakatami, dlaczego się to stało. Skutek był wyborny. Tysiące czytało obwieszczenie, przykład był odstraszający. Po miesiącu bank został otwarty, właściciel jego dzisiaj nie śmie spojrzeć krzywo na Europejczyka i pewnie zakaże to swojemu potomstwu do dziesiątego pokolenia. *Z. W.*



Przysięga Zbyszka Danusi.
Według rysunku K. Gorskiego.



W księżycową noc.

Chcesz, pójdziemy tak we dwoje —
Rozmarzeni, roztęsknieni...
Księżycowych blask promieni
Srebrzy mgieł liliowe zwoje,
W srebrnej fali skry zapala,
Aż się srebrzy cała fala —
Chcesz pójdziemy tak we dwoje.

Chcesz, pójdziemy — pośród błoni,
Zdala gwaru, zdala ludzi,
Nic nas z marzeń nie rozbudzi
I w marzeniach nic nie zgoni; —
Ta noc cicha, rozmarzona
Weźmie, chwyci nas w ramiona —
Chcesz, pójdziemy srodkiem błoni.

Chcesz, pójdziemy, nocnej ciszy
Nie skłócimy mową naszą,
Elfy nas się nie przestraszą
I rusałka nie posłyszy;
Ta rusałka bladolica,
Co się modli do księżyca
Pośród wielkiej nocnej ciszy.

Chcesz, pójdziemy, prosta droga
Zaprowadzi na kraj świata,
Gdzie się dusza z duszą brata, —
Gdzie dosięgniesz myślą — Boga!
Chcesz, pójdziemy tak we dwoje
Poprzez mgieł liliowe zwoje —
Chcesz? pójdziemy — moja droga!

M.



Wyrok śmierci w Pekinie.

Dział Kobiecy.



Gorset.

— Więc pan znowu rozpoczyna swą starą piosenkę o zdeformowaniu ciała kobiecego przez gorset? Ja się tam o hygjenę sprzeczać z panem nie będę, ale jeżeli chodzi o estetykę, to każda epoka kultury ma swój własny ideał piękności kobiecej i nie rozumiem, dlaczego nasz ideał miałby uchodzić za gorszy niż inne.

— Nie przeczę, droga pani, że pojęcia o pięknie ciała kobiecego ulegały różnym przemianom; nie przeczę, że greccy klasycy przekształcili pojęcia wschodnie o ideale piękna w kobiecie, że gotyk inaczej piękno to pojmował niż renesans, że Francuzi XVIII stulecia mieli inne wyobrażenia o estetyce kształtów niewieścich, niż zaskrzepły w formułkach byzantynizm. Ale jakiż mamy ideał? Wszystkie wyobrażenia przeszłości opierały się na linjach naturalnych ciała, jedne uwydatniały je więcej, drugie mniej, żadne jednak nie gwałciły ich rytmu, nie gwałciły przynajmniej w sposób tak karykaturalny jak to się dzieje obecnie w epoce talij wązkich, niby osy. Czyż my wogóle mamy jakikolwiek ideał estetyczny ciała kobiecego? My mamy tylko ideał kostjumu. Nagość zaczęliśmy uważać za objaw niemoralności, ukrycie naturalnych form ciała za objaw smaku dobrego. A przecież to ciało jest wspaniałym darem Boskim, ubóstwianym przez największych artystów ziemi. Zechciej pani zważyć, że wszystkie epoki w sztuce, które gardziły pięknem nagości, były epokami zastoju i martwoty, a najbujniejsze okresy kultury, najwybitniejsi arcymistrze rzeźby i malarstwa uwielbiali ciało kobiece. Nawet Botticeli, ulegający jeszcze wpływom gotyki, malował Venus, piękną w swej nagości.

— Wszystko to prawda, ale pan zdaje się zapominać, że linja ciała męskiego jest inna niż linja ciała kobiecego, że gorset niczego nie gwałci, tylko silniej uwzględnia zasadę konstrukcyjną figury kobiecej. Tułów męski jest z natury cylindrem, tułów kobiecy możnaby prawie porównać do dwóch ostrokręgów, postawionych wierzchołkami, jeden na drugim. Gorset tedy uwydatnia jedynie tę naturalną skłonność ciała kobiecego, nowy ideał piękności nie jest pogwałceniem natury, a rzeźbiarz tej miary co Falguière uwiecznił nawet ten ideał w swej czarującej „Tancerce“.

— Zdaje mi się, że pani jest w błędzie. Różnice między linjami ciała męskiego i kobiecego są istotnie znaczne, ale zdaje mi się, że na tym punkcie właśnie, o którym pani z takim naciskiem wspomina, bynajmniej nie tak silne, jak twierdzić raczyłaś. Dowiódł tego bardzo niedawno w swej kapitalnej książce o „Kulturze ciała kobiecego jako podstawie ubrania“, malarz niemiecki, Paweł Schultze. Nie będę pani nużył powtarzaniem jego dowodzeń natury anatomicznej, powiem tylko, że lubo linja wiodąca od ramion do bioder kobiecych wskazuje istotnie pewną — jakże to powiedzieć? — płynność, pewne wcięcie, to jednak wcięcie to jest, pomijając anomalje indywidualne, zawsze niezmiernie łagodne, dalekie od brutalnych i gwałtownych skrętów gorsetowych.

— A jednak, panie reformatorze, przyznaj mi chyba, że choćby gorset dla wyjątkowo pięknych i harmonijnych figur był istotnie zbytecznym, to dla figur złych, przesadnie bujnych lub krzywych, jest on ratunkiem.

— To tylko kwestya przesądów, wpojonych nam przez zwyczaj i wychowanie. Jeżeli o smukłość chodzi, a o niej to marzą wszystkie zwolenniczki gorsetu, to zesznurowanie środkowej części tułowia uwydatnia tylko szerokość ramion i bioder, a tem samem podnosi raczej horyzontalność, niż wertykalność linii. Subtelny rytm ciała kobiecego, ujawniający się w liniach naturalnych tułowia, ginie zupełnie w kleszczach gorsetowych, żywą grę form ludzkich zastępuje martwa sztywność pancerza. A właśnie kobiety bujne, którym podobno gorset tak znakomite oddaje przysługi, najgorzej na tym pancerzu wychodzą. Gorset nie maskuje, lecz uwydatnia bujność kształtów, rzuca ją w oczy, a dzieje się to niekiedy w sposób iście brutalny. Dlaczegoż zresztą bujność równać się ma szpetności? Spojrzyj pani na kobiety Rubensa. Piękność ciała ludzkiego opiera się wyłącznie na jego proporcyach.

Towarzyszka moja uśmiechnęła się ironicznie.

— Tak, pani, na proporcyach. Dlatego też nie godzę się bynajmniej na utarte przekonanie, że n. p. małość nogi jest nieodzownym atrybutem jej piękności. Zdaje mi się, że przesąd ten powstał w epoce rokoka, ale czas byłoby nareszcie złożyć go na spoczynek wieczny. Piękność nogi nie zależy bynajmniej od jej małości, lecz jest kwestyą ogólnych proporcyi ciała. Mała noga przy olbrzymiem ciele, już choćby dlatego samego jest nieestetyczną, że budzi wrażenie jakby dźwignąć nie mogła masy cielesnej. Piękność nogi polega przedewszystkiem na jej formie, a ludzie od dawna już wysilają się, aby zepsuć to arcydzieło natury. Nasze trzewiki modne powykrzywiały nam palce, powyginały je niby pazury. My wszyscy wiemy o tem doskonale, ale moda nas tyranizuje, lękamy się poprostu zerwać z metodą ustawicznego gwałcenia form naturalnych.

— I pan także należy do tchórzów?

— I ja także poniekąd, lubo przyzna pani chyba, że my mężczyźni, nie pozwalamy modzie burmistrzować w strojach naszych tak bezkarnie, jak to się u was dzieje.

Piękna pani powstała i uśmiechając się wciąż z lekkim przekąsem, podała mi rękę na pożegnanie.

— Pani ucieka?

— Tak, idę przymierzyć nowy gorset.

Kaprys.





PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy" przez Laurę Zejdowską.

16) (Ciąg dalszy.)

— Teraz już wiesz wszystko, Klaro, wczoraj przyjechałam do Paryża, chodziłam po magazynach, szukając zajęcia, zabłądziłam aż tu, ci straszni ludzie napadli na mnie, ja byłam bezsilna i głodna, uratował mi życie twój przyjaciel i przyniósł do tego domu.

Klara płakała słuchając tej smutnej opowieści, a kiedy Luiza powiedziała, że „raz doznała szczęścia", spojrzała na siostrę i wyczytała w jej błyszczących oczach jakąś tajemnicę jej serca. Zdjął ją strach, a może Luiza, ta ukochana siostrzyczka tak jak i ona padła ofiarą nędzy i samotności? Objęła Luizę, patrzała w jej oczy i pytała jak matka dziecka.

— Luizo, powiedz mi, czy ty już nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Co znaczy to szczęście, o którem mi mówiłaś?

— Oh! tak Klaro, ja byłam szczęśliwą! Wracałam okrętem do Francyi, na pokładzie spotkałam dużo ludzi, lecz nigdy nie zbliżałam się do nikogo; jeżeli noc była ciepła i spokojna ukrywałam się w jakim kąciku, myślałam o tobie i płakałam. Raz zatrzymał się przy mnie młody człowiek, oficer marynarki rządowej, który wracał z wyprawy naukowej. Ja go już od kilku dni zauważyłam, był taki piękny, miał twarz bardzo poczciwą, on także mi się zawsze przyglądał, a ja czułam, że się rumienię.

— Dlaczego płaczesz panienko — powiedział do mnie dziwnie słodkim głosem, — ja nic mu nie odpowiedziałam, wtedy on usiadł obok mnie i mówił mi dużo o sobie, że on także wraca do kraju po roku niebytności do rodziców, pocieszał mnie, a potem całe dnie rozmawialiśmy z sobą jak dwaj przyjaciele. Czy pamiętasz Klaro nasz biały dom, gdzie byłyśmy takie szczęśliwe przy naszej mamie? Pamiętasz, że z okien naszego pokoiku widać było wspaniały park i bogaty pałac Fenestrèl, w tym pałacu mieszkał hrabia Hubert Thiellay... no to widzisz, ten oficer to jego syn, hrabia Urban! — Nareszcie trzeba się było rozłączyć, skończyły się nasze rozmowy, w Marsylii Urban zapytał mnie, gdzie mam zamiar się udać i co z sobą zrobię, powiedziałam, że pojadę do Paryża szukać zajęcia, on mnie odprowadził do wagonu i ze łzami w oczach prosił, abym o nim pamiętała, jeżeli nie dam sobie sama rady, mówił mi, że mieszka w Fenestrèl jego ojciec i matka, a cicho dodał, abym tam przybyła mieszkać z nimi i z nim razem... potem odjechałam... resztę już wiesz... a teraz spać, upadam od znużenia.

Udręczone biedne dziecko zasnęło zaraz na rękach siostry jak u matki, Klara odetchnęła, na dziś uniknęła pytań Luizy, lecz nazajutrz musiała wyznać jej prawdę. Niestety jakże odmienną będzie jej opowieść od naiwnej spowiedzi czystej miłości Luizy.

Dopiero koło 10 rano Luiza otworzyła oczy, wstała zaraz i ubrała się w przygotowane przez Klarę suknie, lecz zaledwie była gotowa, zaraz rozpoczęła swoje badanie.

— A tobie Klaro cóż się przytrafiło? Zkąd to całe bogactwo?

— Dostałam je w spadku... po... po moim przyjacielu Robercie Aujoux... on kochał mnie bardzo... umarł, a bojąc się, żebym nie żyła w nędzy, przed śmiercią zapisał mi... trochę pieniędzy. Widzisz Luizo, że to nic nadzwyczajnego.

— Tak, to... nic nadzwyczajnego...

Nie warto było nawet mnie pytać...

— Gdzie poznałaś tego Roberta? Za co okazał ci taką łaskę, czego żądał od ciebie za twoją przyjaźń.... Klaro, ty kochałaś tego człowieka!

Klara uklękła u nóg siostry, a całą jej odpowiedzią był płacz przechodzący w gwałtowne łkanie.

— Oh! Boże mój, mówiła Luiza, płacząc także, co by na to powiedziała nasza matka... jeżeli ona kiedy wróci do nas, nie powinna zastać nas tu, gdzie ty musisz się rumienić ze wstydu, czy mnie rozumiesz? Klaro... czy zgadzasz się, powiedz?

— Zgadzam się z całej duszy!

— Poszukamy roboty, będziemy żyć w spokoju, dumne, że własnej pracy nasz byt zawdzięczamy.

— Zrobię co zechcesz Luizo, pójdę wszędzie za tobą.

Koło południa zjawił się Gustaw, on nie spał noc całą, myślał o dwóch siostrach, o ich przeszłości i o tem co zaszło. — Gustawie, powiedziała do niego Klara, zaraz po powitaniu, teraz wiesz już kto jest naszą matką, znasz przeszłość naszą, wiesz także, jak ważną rolę w życiu naszem odegrał twój ojciec.

— Jestem córką Pijaczki i... kocham ciebie, a ty czy dziś kochasz mnie tak jak wczoraj?

— To ja, Klaro, powinienem ciebie pytać, czy dziś godziem jestem twojej miłości?

— Kocham cię nad życie, Gustawie!

— Dzięki ci... jakże jestem szczęśliwy, że mogę ci za to oznajmić wielką nowinę, która sprawi wam prawdziwą radość... wasza matka jest wolną... ułaskawioną. Od kilku miesięcy wyszła z więzienia, była nawet w przytułku w Vouvray, może sobie przypomniecie, to ona mówiła do was w chwili waszej ucieczki.

— Boże! zawołała Klara — więc to była ona? A ja tak źle mówiłam o Pijaczce, biedna kochana mama, jakże ona musiała cierpieć!

— Widzisz Klaro, ona w każdym liście swoim pisała nam, że jest niewinną i ja wierzę w jej niewinność!

— Tak panno Luizo, ona jest niewinna, wierzcie mi ja... ja wiem to napewno... lecz to musi pozostać tajemnicą do czasu, brak mi jeszcze jednego dowodu.

— Gustawie, czy to tylko nie próżna nadzieja.. ja doprawdy nie mogę wierzyć w moje szczęście... ty... ty mnie kochasz i mówisz, że nasza matka będzie zrehabilitowaną, czy to tylko nie sen?

— Zaprowadź nas pan do niej zaraz, mówiła Luiza.

— Niestety nie wiem gdzie jest, ale się dowiem, muszę ją wam przyprowadzić.

Gustaw zostawił siostry same, one przecież tyle sobie miały do powiedzenia, przy pożegnaniu Klara oznajmiła mu, że chce dom ten porzucić i wszystko, coby jej przypominało przeszłość. — Widzisz Gustawie, kiedy moja matka wróci, łatwiej mi przebaczy, gdy mnie zastanie utrzymującą się z pracy.

— Ona ci przebaczy Klaro, jestem tego pewien.

— Wszystko, co otrzymałam od Roberta, ten cały zapis przeznaczam dla biednych, a ty Gustawie zajmiesz się tą sprawą.

— Klaro, jesteś godną mojej miłości, kocham cię... miej ufność w przyszłości... szczęście powróci.

Bertelin, którego Gustaw zawiadomił o wszystkiem, przyjechał nazajutrz, żeby zabrać do siebie Klarę i Luizę teraz kiedy były wolne od opieki przytułku, postanowił zająć się ich losem, wiedział też dokładnie o tem, co przechodziła Klara z Gustawem, lecz nie dał tego poznać młodej dziewczynie i zaraz im oznajmił, że natychmiast odjadą na wieś do niego. Pożegnał serdecznie młodego doktora, który upewnił go, że rehabilitacya Karoliny nastąpi wkrótce, a wtedy on przyjdzie upomnieć się o swoje szczęście.

(Koniec pierwszej części II-go tomu.)

Druga część II-go tomu.

Człowiek z ruin Opactwa.

ROZDZIAŁ I.

Trochę szczęścia.

Gdyby Klara i Luiza miały obok siebie swoją matkę, szczęście ich byłoby zupełne, tymczasem chociaż to stało się ich pociechą, że Bertelin mówił do nich: Cierpliwości ja ją wam odnajdę.

Pisał on listy w różne strony kraju, telegrafował i także ogłaszał ciągle w pismach w nadziei, że dojdzie to do wiadomości Karoliny i że nareszcie szczęście uśmiechnie się do nich wszystkich. — Miesiąc już upłynął jak bliźniaczki przebywały na wsi w domu Jana Bertelin, Urban Thiellay syn

hrabiego przyjechał do Fénestrel i pewnego dnia jadąc powozem z matką i ojcem spotkał na drodze Klarę i Luizę. Chociaż jechali szybko, Urban na widok młodych dziewcząt wydał okrzyk podziwu, poznał Luizę ku wielkiej swojej radości, tak to była ona, ta piękna, skromna i słodka towarzyszka podróży, o który on nie przestał myśleć. Lecz postanowił się upewnić i tegoż jeszcze wieczora zasięgnął we wsi bliższych wiadomości; wkrótce wiedział już wszystko, nazwisko dziewcząt, szczegóły życia, przezwisko ich matki i cały straszny dramat, który kiedyś dawno odbił się o jego dziecinne wspomnienia. Rzecz dziwna, że cała ta smutna historya nie oddaliła jego serca od Luizy, przeciwnie dodała jej uroku i bardziej godną uczyniła sympatyi, jaką czuł ku smutnej dzieweczce od pierwszej chwili poznania. Klotylda zauważyła, że Urban jest od kilku dni dziwnie czemś zajęty i zamyślony, pytała syna o przyczynę, ale on za całą odpowiedź ucałował ją serdecznie. Hrabina kochała syna nad życie, on był łącznikiem, co spoił na nowo serca rodziców po okropnym dramacie, co miał miejsce lat temu dwanaście w ruinach. Urban nie miał sił dłużej milczeć, poszedł do Bertelina, którego nie zastał w domu, a Luiza na jego widok nie mogąc ukryć swego szczęścia, zawołała do siostry:

— A widzisz Klaro, mówiłam, że on tu przyjdzie.

Klara miała więcej zastanowienia, bała się o siostrę, nie ufała tej miłości, ale Urban wszedł, był pełen uszanowania, miał taki miły uśmiech na poczciwej twarzy, tyle szczerości w głosie, że nie stanęła na przeszkodzie temu spotkaniu, nawet nie miała odwagi powiedzieć: „Nie", kiedy Urban prosił o pozwolenie powrotu, a Luiza zwrokiem błagała siostrę o zgodę. W kilka dni potem odwiedził je znowu, lecz zastał też Jana, któremu Klara opowiedziała wszystko. Nie przyjął on tego zbyt mile, zamyślił się, gdyż sam nie był pewien, gdzie tych dwoje dzieci mogła ta miłość zaprowadzić. Czyżby Urban miał zamiar pojąć Luizę za żonę? Tak, ona była dość piękną nawet, żeby wzbudzić szaloną miłość, lecz czyż rodzice młodego hrabiego zgodzili by się na ten związek? Czy uznali by za synową córkę Pijaczki?

Poprosił Urbana o chwilkę rozmowy, a wynik jej był taki, że młody człowiek natychmiast po niej wrócił do pałacu, udał się do ojca i wprost tak powiedział: Mój ojcze ja kocham!

— Tem lepiej moje dziecko, lecz czemu tak drżysz, czy boisz sie czego, czy popełniłeś coś niestosownego?

— Nie mój ojcze, miłość moja jest czystą, a ona jej godna, boję się tylko, że nazwisko, które ona nosi nie będzie po twojej myśli.

— Czy ona jest biedna?

— Tak, ojcze, zupełnie biedna.

— Tobie więc będzie zawdzięczać majątek, bo że jest uczciwą, tego jestem pewien, ty przecież nie kochał byś takiej, za którą ja i twoja matka musieli byśmy się rumienić. Powiedz mi więc jej nazwisko.

— Luiza Lamarche!

— Co? Córka Pijaczki? Ty chyba żartujesz Urbanie?

— Nie mój ojcze, namyśliłem się głęboko zanim Ci to powiedziałem.

— Oh! moje biedne dziecko!

— Żałujesz mnie mój ojcze... dlaczego? Ja jestem taki szczęśliwy!

— Więc ty naprawdę myślałeś, że ja pozwolę?

— No tak, przecież nie zechcesz, abym był nieszczęśliwym! Moje drogie kochane, biedne dziecko nie myśl o tem nawet... to niemożliwe, nigdy, nie będziesz mężem tej dzieweczki chociaż ona tak skromna, uczciwa i godna twej miłości.

Urban patrzał na ojca z niemą rozpaczą, nie śmiał dalej mówić, ale nadeszła jego matka, u Klotyldy szukał obrony i pomocy.

— Cóż za tajemnicze prowadzicie tu rozmowy, co ci jest Urbanie?

— Moje dziecko, twoja matka nadchodzi w porę, jeżeli chcesz, zapytamy ją, ona rozstrzygnie między nami.

— Oh! matko broń mnie... miej litość nademną!

— Posłuchaj Klotyldo, Urban wyznał mi, że kocha i pragnie poślubić pewną panienkę... lecz chyba nigdy nie zgadniesz czyjej córce chce dać swoje nazwisko.

— Więc jego wybór nie podoba się tobie Hubercie?

— Ależ tak... to Luiza, jedna z córek Karoliny Lamarche.

— Co Pijaczki? Oh! mój drogi Urbanie... ależ to szaleństwo, nie myśl o tem nigdy!

— Widzisz, twoja matka mówi to co i ja.

— Zlitujcie się nademną, nie potępiajcie mnie tak bez namysłu... to mnie doprowadzi do rozpaczy, ja będę bez niej bardzo nieszczęśliwy. Matko cóż ty mi powiesz?

— Żal mi cię z całego serca.. mam wiele współczucia dla twojej boleści... nie mogę iść z tobą przeciw woli twojego ojca.

— Ojcze, ty nie znasz Luizy, nigdy jej nie widziałeś. Nie wolno ci potępiać jej, zanim ją poznasz. Radzisz mi iść do niej... liczysz może na to, że wzruszy mnie jej smutek i łzy?

— Tak ojcze.

— Dobrze... pójdę, żebyś mi nic nie miał do wyrzucenia.

— Idź ojcze, wrócisz pokonany, bo ona mnie kocha!

Nazajutrz po tej rozmowie, hrabia udał się do domu Jana, nie chcąc zwracać uwagi, poszedł pieszo, szedł krokiem szybkim ciernistą aleją, co prowadziła do domu Jana, kiedy zauważył, że przed nim idzie jakiś mężczyzna do tego samego celu. Nieznajomy przystanął, jakby się orjentował w miejscowości i powiedział głośno:

— Tak, to musi być tu, ale nie jestem pewien.

Odwrócił się właśnie w chwili, kiedy hrabia nadszedł i skorzystał, aby żądać objaśnienia.

Uchylił grzecznie kapelusza i zapytał:

— Przepraszam pana, czy ta droga prowadzi do domu..... lecz nie dokończył zdania, gdyż obaj panowie spojrzawszy sobie w oczy instynktownie odsunęli się jeden od drugiego. Ten nieznajomy to był bankier Moeb.

— Przepraszam... o co pytasz, powiedział po chwili hrabia.

— Chciałem zapytać o drogę do Tours...

— Prosto... panie prosto...

— Dziękuję.

Moeb uchylił kapelusza i szybko poszedł naprzód, hrabia patrzał za nim długo, aż sylwetka bankiera znikła w mgle i mówił do siebie, zaniepokojony:

— Ta sama postawa... ruchy, czyż to możliwe takie podobieństwo, nie, nie to on, on sam znów wraca... może spełnić nową zbrodnię? Ale nie, ja się chyba mylę? A gdybym tak stanął przed nim i powiedział:

— To ty Leonie, ty jesteś moim bratem... ty jesteś złodziejem i fałszerzem, którego lat temu dwadzieścia, ocaliłem od galer ...ty zabójca doktora, ty co umarłeś dla całego świata, tylko nie dla mnie? Po co ty wracasz? Przychodzisz znów jak widmo, żeby mnie prześladować.

Idąc dalej drogą, hrabia ochłonął z pierwszego wrażenia i rozmyślał, czy się nie myli w swoich przypuszczeniach, a jak tylko znalazł się u Bertelina, zapomniał narazie o dziwnem spotkaniu. Powiedział służącej, że pragnie widzieć pannę Luizę, lecz zamiast niej przyjął go Jan i tak przywitał:

— Panie hrabio, rozmawiałem wczoraj wiele i długo z synem pana, przychodzisz naturalnie poznać Luizę i mieć z nią stanowczą rozmowę, której treść już przeczuwam, więc błagam pana, oszczędzaj to biedne dziecko, ona już tyle w życiu cierpiała, może nie będzie miała sił znieść tej smutnej nowiny.

— Nie zapomnę o tem panie Bertelin, a teraz powiedz mi pan, proszę, czy nie odebrałeś przed chwilą wizyty pewnego pana?

— Nie.

— To zapewne on tu przyjdzie, szedł w stronę domu pana, jeżeli znasz pan tego człowieka powiesz mi później jego nazwisko, a teraz proszę zawołaj pan tu Luizę.

W pięć minut potem weszła Luiza, była blada, drżąca, ale tak urocza, tak promieniejąca swoją młodością, że hrabia uścisnął wzruszony maleńkie rączki i prosił, aby miała do niego zaufanie jak do ojca.

Uśmiechnęła się, ale oczy miała łez pełne, Bertelin uprzedził ją, że to ojciec Urbana.

— Syn mój powiedział mi, moje dziecię, jak bardzo cię kocha i jak jest przez ciebie kochanym. Czy to prawda, kochana Luizo?

— Oh! tak! Ja go kocham nad życie i na wieki.

Otóż właśnie dlatego przyszedłem, aby ci powiedzieć, że ta miłość przyniesie wam nieszczęście, że nie wolno wam myśleć o niej.

— Ja wiem, że nie mogę być jego żoną, ale kochać go nigdy nie przestanę.

Wierzaj mi dziecko, że mi cię żal serdecznie, gdyż bynajmniej nie czynię cię odpowiedzialną za winy twej matki, lecz przeznaczenie już tak zrządziło, że musisz cierpieć za to. Musisz zerwać z moim synem, nie widywać go więcej.

— Panie... ja nie wiem czy będę miała siły...

— Tak, będziesz miała, jeżeli kochasz go dla niego samego, nie dla siebie.

— Cóż każesz mi robić panie?

— Zobaczysz się z Urbanem... po raz ostatni przemówisz do niego rozsądnie... powiesz mu, że go już nie kochasz!

— On mi nie uwierzy, tak, jak i ja nie uwierzyłabym, gdyby mi przyszedł powiedzieć; że mnie nie kocha!

— No to... staraj się chociaż żeby uwierzył...

— Dobrze panie hrabio, mogę to uczynić, lecz nie wiem czy on mnie usłucha.

— Hrabia odszedł, ujęty wdziękiem miłej dzieweczki, szedł lasem do pałacu, kiedy znów zobaczył nieznajomego, idącego prosto do domu Jana, i znów stanął, patrzał za nim i szeptał.

— Czy to on? Czy to możliwe, że powrócił?

ROZDZIAŁ II.

Bankier Moeb.

Hrabia Thiellay ukrył się niedaleko domu Jana i widział jak zagadkowy nieznajomy wszedł tam, po 10 minutach wyszedł, był czegoś bardzo wzburzony, mówił do siebie: „Ona musi być moją" nie zauważył hrabiego i udał się drogą do Azay. Bertelin wyszedł na próg domu, a widząc hrabiego idącego ku sobie zadziwił się bardzo i zapytał.

— Co to jest panie, hrabio, czego pan taki wzruszony, co się stało? Ah! pewno idzie tu o tego człowieka?

— Tak... tak jego nazwisko prędzej, przez litość!

Jan podał hrabiemu kartę, na której tenże wyczytał nazwisko „Moeb", lecz było mu ono nieznane, nic mu nie przypominało; pożegnał Jana i szybko zwrócił się w stronę Azay, z oddali zobaczył powóz z liberyą jedynego hotelu miasteczka, a w nim Moeba. Zatem tam zatrzymał się bankier, pewno będzie nocować, pomyślał hrabia i bez namysłu udał się pieszo do miasta, chociaż deszcz zaczął padać i przemoczył go do nitki, lecz on nic nie czuł, tylko ciągle miał przed oczyma widmo swego brata fałszerza i mordercy! Stanął nareszcie przed hotelem i posłał kartę swoją do bankiera. Moeb był w swoim pokoju, spał na fotelu, kiedy służący oznajmił mu wizytę.

— Czego żąda hrabia Thiellay?

— Nic mi nie mówił.

— Proś pana hrabiego.

Zaledwie służący odszedł, Moeb podbiegł spiesznie do lustra i badawczo się sobie przyglądał, lecz widocznie był zadowolony, gdyż się uśmiechnął i powiedział do siebie: „Nie pozna mnie napewno." Hrabia za chwilkę wszedł do pokoju, Moeb skłonił się uprzejmie i zapytał:

— Panie, czemu mam zaszczyt przypisać obecność jego u mnie?

Zdanie było zwykłe, a jednak na dźwięk głosu bankiera hrabia zadrżał, gdyż ten głos dobrze był mu znany, Moeb pozostał spokojny i pewien siebie.

— Wybacz mi panie, że przychodzę tu, chociaż nie jestem mu nieznany.

— Oh! przeciwnie, panie hrabio, nazwisko pana zbyt jest popularnem w tych stronach, jadąc, widziałem pałac Fenestrel, a woźnica wiele mi o panu opowiadał.

To nam rzecz bardzo ułatwi. Pan Bertelin powiedział mi, że pan masz zamiar kupić ziemską posiadłość w tych stronach, a że ja właśnie mam takową do zbycia, może będziemy się mogli porozumieć. Kiedyś... nabyłem za sumę... 300 000 franków piękny kawałek gruntu od... doktora Renneville, którego zamordowano.. właśnie w dzień, kiedy mu tę sumę wypłaciłem!

Moeb zarżał, jednakże odpowiedział zaraz uprzejmie.

— Bardzo pięknie, panie hrabio, wprawdzie miałem zamiar odjechać dziś do Paryża, lecz zostanę, aby wraz z panem obejrzeć ową miejscowość i pomówić o tym interesie.

Zrobimy jeszcze lepiej panie... Moel, przyjedź pan jutro o 11-tej na śniadanie do... Fenestrel, potem zwiedzimy posiadłość, no cóż zgoda?

Moeb zerwał się, przeszedł po pokoju, zapalił cygaro, poczem otworzył okno, zaczerpnął powietrza i dopiero odpowiedział.

— Zgadzam się panie hrabio z wielką przyjemnością.

— A więc do jutra, żegnam pana.

Hrabia odszedł, ale przez całą drogę do pałacu ciągle powtarzał sobie „czy to on" czy to mój brat?

Moeb stał długo w oknie i rozmyślał „czy pójdę tam jutro? Jeżeli nie, on pomyśli, że się boję... tak trzeba!

Nazajutrz ku wielkiemu zadziwieniu hrabiego przed pałacem zatrzymał się powóz, a z niego wysiadł Moeb, pewien siebie z uśmiechem obojętnym wszedł na stopnie, na których oczekiwał go hrabia. Zanim podano śniadanie, hrabia zaproponował zwiedzenie pałacu, na co zaraz zgodził się Moeb, przeszli już kilka salonów, gość podziwiał nagromadzone bogactwa zabytki, familijne portrety, a chociaż panował nad sobą, hrabia zauważył, że ocierał często pot z czoła, kilka razy usiadł, bo nogi mu drżały i tchu nie mógł złapać. Naraz hrabia idąc przodem otworzył drzwi jakiegoś pokoju ze słowy:

— Nikt nigdy nie wchodzi do tego pokoju, ale... dla pana zrobię wyjątek... proszę,.. tu urodził się mój brat bliźniak i ja... tu umarła nasza matka i ojciec! Brata tego kochałem nad życie... lecz i on też umarł lat temu dwadzieścia.,. miał imię Leon!

Moeb przeszedł wolno przez piękny duży, pokój, cały urządzony w stylu odrodzenia, podziwiał obicia, dywany, meble... pochylał się nad niektóremi przedmiotami, znów otarł czoło, uchylił okna, jakby podziwiał widok na doliny, poczem w milczeniu obaj panowie przeszli do dalszych pokoi.

Przy śniadaniu bankier jadł mało, widać było, jak strasznego używa wysiłku, żeby nad sobą panować, jak okropne znosił tortury, ale aż do końca wytrwał i niczem się nie zdradził, chociaż hrabia oka z niego nie spuszczał. Zwiedzili posiadłość, rozmawiali długo, lecz hrabia ciągle jeszcze pytał się sam siebie „czy to on?" Moeb nareszcie był wolny, pod wieczór odjechał do hotelu, w swoim pokoju padł bez sił na fotel i powiedział: „Jeszcze jeden taki dzień, a jestem zgubiony." Jednakże nie odjechał z Azay, postanowił koniecznie zobaczyć się z Klarą, przecież dlatego przedsięwziął tę niebezpieczną wycieczkę. Dla niej zabił człowieka, teraz sam siebie wystawił na ofiarę, lecz namiętność jego zbyt była silną, jej uległ bez zastanowienia. Cały dzień śledził z ukrycia dom Jana, nareszcie wieczorem o zmroku spotkał Klarę na drodze wracającą do domu. Stanął przed nią, pochwycił za ręce, a choć się wyrywała przerażona, prosił, by się go nie obawiała i pozwoliła mówić do siebie.

— Puść mnie pan, ja pana nienawidzę, pan jesteś powodem mego upadku, mam do pana wstręt, odejdź, czego chcesz odemnie?

— Kocham cię, kocham prawdziwie... chodź ze mną, pojedziemy do Paryża, otoczę cię przepychem, będziesz królową wdzięków mody, i bogactwa.

— Precz... ja się pana boję!

— Nie, nie, musisz ze mną pojechać zaraz!

— Nie chcę, puść mnie pan... na pomoc... na pomoc!

Moeb tak silnie uścisnął ręce biednego dziecka, że Klara przerażona straciła siły i padła mu u nóg zemdlona, bankier pochylił się nad nią z uśmiechem zwycięzcy i chciał ją unieść z sobą, kiedy nagle silne dwie ręce wpiły się w jego szyję i pochyliły nędznika ku ziemi, puścił zemdloną dzieweczkę i sam padł na kolana, przestraszony, oszołomiony napadem podniósł głowę i zobaczył przed sobą... hrabiego Thiellay!

Jesteś nędznikiem! Dlaczego napadałeś na to dziecko?

Moeb zerwał się, podniósł rękę, zamierzył.

— Uderz! Uderz bracie! Ręka bankiera opadła.

— Dlaczego nazywasz mnie bratem?

— Bo jesteś nim! Tyś Leon, mój brat.

— Zwaryowałeś panie hrabio!

Moeb powiedział to z tak dobrze udanym spokojem i oburzeniem, że hrabia gotów był uwierzyć w pomyłkę. Narazie przytem uwagę jego zajęła Klara, wracająca do przytomności, pomagał jej wstać i nią się tylko zajął, zapewniwszy, że jest teraz bezpieczną pod jego opieką. Bankier słysząc to zapewnienie, powiedział:

— A ja jej mówię, że nie zazna spokoju, bo ja powrócę i będę zawsze prześladować nie tylko ją, ale tych wszystkich, co ją otoczą opieką i tych, co ją będą kochać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



(Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

6) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

— Ciebie większy cios dotknął, mówiła Felicya dalej, bo ty byłaś jego żoną — ciebie on kochał, i nie dziwię mu się wcale! Jesteś tak piękną, dobrą, łagodną....

— Ach nie, przerwała Józefina, tyś bez porównania lepszą jak ja! Cóżby się ze mną było stało w Liverpolu, gdybyś mi nie była zostawiła pieniędzy na podróż do Petersburga, a i tu nawet dajesz mi ciągle pieniądze. Wstydzę się formalnie tego....

— Ależ ty niczego nie potrzebujesz, nie masz żadnych wymagań! Czemu nie zamieszkasz w innym domu? Drżę zawsze, wchodząc tu do tej jamy.



Felicya spojrzała przez mały otwór w drzwiach....

— Tak, ten dom jest okropny, odrzekła Józefina, mianowicie boję się sąsiada, pewnego Francuza. Sądząc że nikt go nie obserwuje, zajmuje się czemś dziwnem w swoim pokoju... Patrz!

Mówiąc to, zdjęła Józefina z ściany mały obrazek.

— Markiz jest w domu, szepnęła, zbliż się i spojrzyj...

Felicya spojrzała przez mały otwór w drzwiach i cofnęła się przerażona.

— Ależ to fałszerz pieniędzy. Sąsiad twój jest przestępcą!

— Wiem o tem już oddawna, ale nie śmiałam nikomu o tem powiedzieć! Boję się jego samego i jego wspólników!

— Więc on ma wspólników?

— Oto już jeden z nich!

Felicya zbliżyła się znowu do otworu i ujrzała wchodzącego do pokoju żyda Gregorowicza. Wsunął on się cicho, jak kot, i stanął za plecami markiza, który wcale jego wejścia nie zauważył, tak był pracą zajęty.

Był to rzeczywiście markiz Laroche, sprawca nieszczęścia Ludwiki, który po ucieczce z Hamburga przybył do Petersburga. Tutaj czuł się bezpiecznym!

Pokój, w którym obecnie mieszkał, zupełnie odpowiednio był urządzonym do jego zajęcia. Na stole leżało mnóstwo rysunków, form metalowych, szkieł powiększających oraz narzędzi wszelkiego rodzaju.

W żelaznym piecu płonął ogień, nieco dalej stały maszyny, drukarnia i mała prasa, przeznaczona zapewnie do wybijania złotych monet.

Laroche siedział przy stole i rysował storublówkę rosyjską, Gregorowicz zaś stał za nim i patrzał długo na mozolną, męczącą tę pracę.

— Doskonale! — zawołał głośno, — banknot ten wygląda zupełnie, jak gdyby co dopiero wyszedł z mennicy. W kilku latach jesteśmy bogaci i możemy się wycofać z interesu.

Laroche zadrżał na dźwięk głosu żyda i obrócił się szybko.

— Czemu chodzisz za mną jak szpieg? — krzyknął rozgniewany. Czy myślisz, że cię oszukam? Kontrolujesz mnie tak, że się już ruszyć bez twej wiedzy nie mogę!

— No, muszę przyznać, że ja się boję! Ukrywam tu pana w moim domu, wydaję pomiędzy ludzi fałszywe pieniądze i wiem, co mnie czeka, w razie gdyby to wyszło na jaw. Ale nie kłóćmy się. Pan potrzebujesz mnie, ja pana — więc musimy żyć w zgodzie.

Laroche skinął głową i zaczął znowu rysować.

— Jak się panu podobają te nowe banknoty? — zapytał po chwili.

— Znakomite! świetne! — chwalił żyd. — Zrób pan takich dwadzieścia tysięcy! Mam obstalunek z Wiednia, mój przyjaciel Lajbuś prosił o tyle, chce on co miesiąc wydać dziesięć tysięcy! Nie wzbudzi to żadnego podejrzenia, bo on handluje zbożem i przez ręce jego przechodzi dużo rosyjskich pieniędzy.

— W trzech dniach będzie wszystko gotowe!

— A złoto dla księżnej Bassano? Za tydzień muszę jej zanieść... przy zielonym stoliku najwygodniej płacić fałszywemi pieniędzmi, bo potem nie wie nikt, od kogo je dostał!

— Księżna mądra jest kobieta! Ktoby myślał, patrząc na tę piękną, młodą arystokratkę, że używa fałszywych pieniędzy! Mieszka w pałacu, ma powozy, konie, klejnoty — bywa na dworze u cara....

— Ona jest bardzo rozrzutną i lekkomyślną — rzekł Gregorowicz — pieniądze topnieją jak masło w jej białych rękach. Mąż skąpy, pieniędzy dawać nie chce, a że piękna księżna lubi przepych i zbytki, przeto nie pozostaje jej nic więcej, jak kupować za fałszywe pieniądze. Moją zasadą też jest: wprowadzać fałszywe złoto i banknoty w kurs nie przez ludzi biednych, tylko przez bogatych! O tych nikt czegoś podobnego nie uwierzy.

Gregorowicz rozśmiał się i wyszedł, a Laroche pracował pilnie dalej.

— Ależ to okropne — szepnęła Felicya z wielkiem zdziwieniem. — Więc tak postępują wytworne damy w Petersburgu. Księżnę Bassano znam — byłam raz u niej i muszę się przyznać, że nie widziałam jeszcze tak pięknej i miłej jak ona, kobiety. I to ma być wspólniczka takich złoczyńców?

— Poznałaś już jedną tajemnicę rosyjskiej kawiarni — odrzekła Józefina — chcesz poznać teraz drugą?

— To jeszcze nie koniec? — zawoła Felicya.

Zamiast odpowiedzieć, zaprowadziła Józefina Felicyą do drzwi, znajdujących się na przeciwległej ścianie. I tutaj był we drzwiach mały otwór, przez który można było widzieć wszystko, co się w pokoju działo.

Felicya ujrzała tam wązkie żelazne łóżko, krzesło i stolik — było to całe umeblowanie pokoju.

Na łóżku siedział starzec, z długą i jak śnieg białą brodą i bladą, zapadłą twarzą. Postać jego okrywała szara, płócienna bluza, na kolanach trzymał książkę, ale oczy jego utkwione były w sufit. Zdawało się, że starzec ten jest nieprzytomnym. Od czasu do czasu otwierał usta, chciał coś mówić, ale milczał.

— Kto to jest? — szepnęła Felicya — jaka piękna, szlachetna twarz! Ach Boże — twarz ta przypomina mi

obraz, który wisiał w naszym zamku... matka okrywała go żałobną krepą, a raz w rok owiła zielenią, kwiatami, wawrzynami — —

— I to był portret tego starca? — pytała Józefina ciekawie.

— Nie — tamten był mężczyzną w sile wieku — ale podobieństwo jest wielkie, podpadające...

— Nie mówiła ci matka nigdy, czyj to był portret?

— Nigdy! Ale ile razy patrzała na obraz, tyle razy miała łzy w oczach, a gdy skończywszy szesnaście lat, wyjeżdżałam do Wiednia, jako dworska dama cesarzowej, wtenczas wspominała do mnie o tym portrecie po raz ostatni... Zaprowadziła mnie do galeryi, kazała przypiąć do krepy, osłaniającej obraz, świeże róże i rzekła: „Po mojej śmierci nie otrzymasz kosztowności — tylko ten obraz — ale to jest największy skarb, jaki ci zostawić mogę. Niech on ci będzie świętością! Mężczyzna, którego portret przedstawia, był najlepszym i najszlachetniejszym człowiekiem na świecie, dlatego musiał cierpieć dla innych...“ Czy żyje? nie wiem! Nie wiem, czy go zamordowano, czy go ukryto — nawet cesarzowa Elżbieta nie mogła mi pomódz“

— Matko! — zawołałam — kto to jest?

Ale matka zaczęła głośno płakać.

— Nie pytaj o to — szepnęła — jesteś jeszcze za młoda, aby się wszystkiego dowiedzieć — później opowiem ci i dam zlecenie — świętą misyą do spełnienia...

— I cóż? Dowiedziałaś się później? — przerwała Józefina ciekawie.

— Nie, bo matki już żywej nie widziałam! Umarła nagle na paraliż serca, a gdy przyjechałam, leżała w trumnie! Zabrała tajemnicę ze sobą do grobu.

— Co się stało z portretem?

— Portret znikł! Szukałam go w całym zamku, wypytywałam służbę, obcych ludzi, tam go nie było — stary lokaj przysięgał, że godzinę przed śmiercią matki wisiał obraz na swojem miejscu, a jednak nikt go znaleźć nie mógł!

— Dziwna rzecz! Ale cicho, Gregorowicz idzie.

Drzwi pokoju, w którym siedział starzec, otworzyły się żyd wszedł z talerzem zupy w ręku.

Starzec podniósł się, książka spadła na ziemię.

— Czy żaden z moich przyjaciół nie pytał o mnie? — odezwał się cichym, przytłumionym głosem. — O jak długo jeszcze każą mi czekać! Każda minuta wydaje mi się wiecznością! Ale ja będę cierpliwym! Oni boją się cara — i słusznie — na Sybirze strasznie zimno — ach, jak zimno!

— Przyjaciele pana — odrzekł żyd — wiedzą, że pan jesteś u mnie bezpiecznym! Płacą mi dobrze, więc cię ukrywam przed szpiegami Wasyla.

— Wasyli! O, ten łotr! On mnie zgubił! — jęknął starzec. — Czem on jest teraz?

— Ekscelencyą — dyrektorem policyi! Dano mu przydomek „cień cara.“

— Znałem go, gdy skromnym był urzędnikiem! Ufałem mu, a on zwabił mnie przez granicę, wydał w ręce katów i zarobił dwadzieścia tysięcy rubli, wyznaczone za moje pojmanie! Za napisanie książki „Kaci cara“, posłano mnie na Sybir!

— Okropność — szepnęła Felicya. — A jaki to łotr musi być ten Wasyli!

— Piętnaście lat na Sybirze — mówił starzec dalej ze łzami w oczach — piętnaście lat być żywcem pogrzebanym! W domu ukochana żona, dziecko. — O carze! Czy nie słyszysz w nocy jęki tych nieszczęśliwych ofiar, których posłałeś na takie męczarnie? Ja jestem stary, samotny, opuszczony od wszystkich — ale nie chciałbym się z tobą zamienić!

Na schodach dało się słyszeć ciche gwizdnięcie.

— Kto tam jest? — zawołał starzec. — Czy oprawcy cara idą po mnie? A może Wasyl...

W tej chwili otworzono szybko drzwi i do pokoju wbiegł młody, piękny mężczyzna.

— Baron Frascati, szepnęła Felicya. Sekretarz ambasadora austryackiego — tutaj — co to ma znaczyć?

Starzec tymczasem zbliżył się do barona i serdecznie uścisnął jego rękę.

— Karolu Frascati, rzekł wzruszony, synu ukochanego mego przyjaciela! Przynosisz mi jakie pomyślne wiadomości z owego pięknego, słonecznego świata?

— Tak, odpowiedział Karol. Cesarzowa Elżbieta wie, że pan żyjesz i napisała własnoręcznie list do cara z prośbą o ułaskawienie pana.

— Niech ją Bóg błogosławi! I ciebie także, zawołał starzec, padając na kolana. Ale powiedz mi to jeszcze — czy masz wiadomość o mojej żonie i mojem dziecku? żyją, zobaczę je....?

— O tak, ale nie tu — na ziemi....

— Ach, więc żona moja umarła! Ale córka! Baronie Frascati — kiedy ujrzę córkę?

— Bądź pan odważnym, rzekł Karo drżącym z wzruszenia głosem, na zapytanie twoje straszną mam odpowiedź! Córka pana, której piękność i cnotę sławił świat cały, jest...

— Policya! krzyknął w tejże chwili przeraźliwie Gregorowicz. Wasyl! Ratujcie się! Uciekajcie! Wiecie gdzie tajna droga — prędko!

— Boże Wielki! jęknął Frascati. Jestem zgubiony!

— Nie Karolu, odrzekł starzec spokojnie. Z mojej winy nie popadniesz w niełaskę cara! Otóż uciekaj — tędy. Mówiąc to, nacisnął ukrytą sprężynę, i piec, stojący w kącie pokoju, otworzył się, jak szafa. Wewnątrz znajdowały się wązkie, drewniane schody.

— Nie trać czasu, mówił starzec dalej, temi schodami wyjdziesz na dach sąsiedniego domu, a ztamtąd wsuniesz się w dosyć obszerny otwór i staniesz znów na schodach. Ucieczka łatwa i pewna.

— Pójdź pan ze mną, prosił Karol.

— Nie, bo spostrzeżonoby naszą ucieczkę. Żegnam cię, mój drogi przyjacielu!

Karol zniknął w wnętrzu kryjówki, piec zamknął się i zaraz też wpadło do pokoju kilku uzbrojonych żandarmów. Na czele ich biegł dyrektor policyi, Wasyl.

— Aha, krzyknął zwycięsko, rzucając się ku starcowi, mamy ptaszka! Z Sybiru mogłeś uciec, panie hrabio, ale ja trzymam cię mocno! Żandarmi, związać tego człowieka!

Fedorze Wasyli, odrzekł starzec tak dumnie, jak gdyby przemawiał do swego służącego, raz już zarobiłeś na mnie dwadzieścia tysięcy rubli — i tym razem nagroda cię nie minie, bo car ma zawsze na piwne dla swoich lokai! I tym razem zapłaci ci za bohaterstwo, okazane w zwyciężeniu bezbronnego starca!

— Możesz hrabio lżyć mnie w kopalniach syberyjskich, zawołał Wasyl szyderczo, tym razem jednak nałożę ci kajdany. Drugi raz nie wrócisz ztamtąd! Cesarz mi istotnie podziękuje za usunięcie niebezpiecznego wroga, burzyciela,, nihilisty....

Żandarmi tymczasem włożyli kajdany na ręce.

— Dalej, odprowadźcie go do więzienia, dodał Wasy Tam się zobaczymy, hrabio Bela Szalenburg!

W tej samej chwili dał się słyszeć w przyległym pokoju, głośny, rozpaczliwy krzyk. Felicya wyrwała się jak szalona z rąk Józefiny i uderzała o drzwi, łączące obydwa pokoje.

— Ojcze! wołała, zanosząc się od płaczu, ojcze, ja jestem przy tobie! Nie opuszczę cię! Mój ojcze, twoja córka jest tutaj, blizko ciebie — o Boże.

Starzec zwolna podniósł głowę, a śmiertelna bladość pokryła twarz jego.

— Co to jest? szepnął. Nie słyszeliście nic? Czy nie wołał ktoś ojcze? Czy to moja — — — córka — — Ah, pozwólcie mi raz tylko spojrzeć na nią — — —.

— Wyprowadźcie go, rozkazał Wasyl szorstko.

Żandarmi wzruszeni, stali, spoglądając na siebie.

— Dalej, wyprowadzić więźnia, krzyknął Wasyl.

— O, poczekaj chwilkę, błagał starzec, podnosząc z trudnością skute ręce. Raz tylko — pozwól mi...!

— Dalej!

W głosie Wasyla brzmiała najwyższa wściekłość!

Żandarmi ujęli więźnia pod ręce i ciągnęli go ku drzwiom. Wasyl uśmiechał się szatańsko.

— Niech ci się na łożu śmiertelnem przypomni ta chwila, jęczał starzec. Obyś wtedy też nie zobaczył najmilszej ci osoby! Ach, morderco — morderco — —.

— Ojcze! Mój ojcze! wołała Felicya za zamkniętemi drzwiami.

— Niech cię Bóg błogosławi, moja córko! Żegnam cię!

W następnej chwili wsadzili żandarmi więźnia do dorożki, zajęli miejsce przy nim — konie ruszyły. Wasyl sam został na dole z Gregorowiczem.

— Spodziewam się, że Wasza Ekscelencya jest zadowolonym ze mnie, mówił żyd z niskim ukłonem. Wszakże oddałem w ręce policyi tego niebezpiecznego nihilistę!

— Zdrada wasza zostanie wynagrodzoną, odrzekł Wasyl, ale powiedzcie mi, kto mieszka w sąsiednim pokoju? Tylko mów prawdę, żydzie!

— Przecie nie będę Waszą Ekscelencyą okłamywać! Kto tam mieszka? Ny, jedna młoda dziewczyna, Wiedenka! Józefina Neipert.

— To nazwisko fałszywe! Nie wiedzieliście może, że ta dziewczyna jest córką starego nihilisty?



O, poczekaj chwilkę, błagał starzec, podnosząc z trudnością skute ręce. Raz tylko — pozwól mi!...

— Jak bym zdrów chciał być — nie wiedziałem.

— Więc ową Józefiną Neipert jest hrabianka Szalenburg, córka uwięzionego spiskowca. Ale milczeć o tem! Pilnuj jej dobrze, dowiedz się, u kogo ona tu bywa, kto jej daje pieniądze, i kto do niej przychodzi. Staraj się pozyskać jej zaufanie, a gdy czas stósowny nadejdźie, to poślę ją do ojca!

W tejże chwili wyszła z domu zakonnica. Wasyl cofnął się, i wyjąwszy z kieszeni złotą monetę, podał ją zakonnicy, mówiąc pokornie:

— To dla naszych biednych.

Młoda kobieta zadrżała, a w oczach jej błysnęły łzy.

Milcząc poszła dalej.

ROZDZIAŁ XVIII.

Polityczna kradzież.

Książę Bassano mieszkał w jednym z najpiękniejszych pałacy w Petersburgu.

Dzisiejszego wieczora błyszczały okna jasnem światłem, a przed bramę zajeżdżały liczne karety, zwożąc strojnie ubranych gości na wielki bal.

W salonach jaśniały brylanty, wonialy kwiaty, muzyka grała, wesołe rozmowy i śmiech brzmiały w około, i patrząc na te wytworne panie i świetnych kawalerów, nie można było przypuszczać ani na chwilę, aby po za zbytkami i strojami miał się ukrywać smutek i cierpienie!

A jednak tak było!

Czy owa piękna, młoda kobieta, mająca dla każdego uśmiech, uścisk ręki i uprzejme słowo, czuła się prawdziwie szczęśliwą?

Ową piękną i na pozór tak wesołą kobietą była księżna Diana Bassano!

Cały Petersburg zazdrościł księciu takiej żony.

Rozmawiała ona obecnie z ambasadorem austryackim, a wysoki dostojnik patrzał na nią z zachwytem i nakłaniał, aby raz też przyjechała na dłuższy czas do Wiednia.

— Owszem, bardzo chętnie, odrzekła Diana z uśmiechem, i może będę miała wtenczas szczęście poznania waszej ubóstwianej cesarzowej Elżbiety!

— Naturalnie! zawołał ambasador. Ale teraz, chociaż z przykrością, muszę księżnę pożegnać — widzę tam mego sekretarza, barona Frascati, i chciałbym go o coś zapytać.

— Ah, piękny Karol, uśmiechnęła się Diana, ulubieniec wszystkich pań w Petersburgu! Ale on patrzy tylko na jedną — na hrabinę Barin! Biedny chłopiec — zakochany w niej po uszy.

Ambasador udał, że nie słyszy ostatnich słów Diany i odszedł, a zbliżywszy się zaraz potem do Karola, pociągnął go na stronę i rzekł cicho:

— Otrzymałem przed chwilą telegram od ministra Andrassy'ego z poleceniem natychmiastowego odesłania kopii przymierza austryacko-niemieckiego. Ważny ten dokument znajduje się w rękach pana — przynieś go pan jutro o dziesiątej rano do mego biura!

— Stawię się punktualnie, odparł Karol.

— Spodziewam się, że dokument ten dobrze schowany? Bo gdyby wpadł komu w ręce — jakie skutki mogłoby to pociągnąć za sobą!

— Dokument ten znajduje się w żelaznej szkatułce, przymocowanej szrubami do podłogi pod mojem łóżkiem.

— A służba pana — wierna?

— Mam jednego tylko służącego, starego Szczepana, byłego sierżanta węgierskiego, który dałby się prędzej w kawały porąbać, niż naruszyć moją własność!

— Jest on teraz w domu?

— Tak i ma surowy rozkaz niewpuszczania nikogo do mieszkania!

— Dobrze. Ale cicho — zdaje mi się, że nas ktoś podsłuchuje.

W bezpośredniej bliskości rozmawiających ukazali się teraz nagle dyrektor policyi Wasyl i hrabia Barin. Obydwaj śmiali się głośno, a hrabia Barin śmiał się nawet tak serdecznie, że aż przechylił głowę w tył, zbliżając ją tym sposobem jeszcze bliżej ku szepcącemu ambasadorowi.

— Muszę ten dowcip opowiedzieć mojej żonie, zawołał teraz, i ująwszy Wasyla pod rękę, poszedł z nim wolno dalej.

— Było to tylko przypadkowe spotkanie, zauważył ambasador, chociaż nie dowierzam ani jednemu, ani drugiemu. Są to, podług mego zdania, niebezpieczni ludzie.

— Ah nie, zawołał Karol żywo... Co do hrabiego Barina, to ręczyłbym za jego uczciwość!

— Jesteś pan młodym i masz wrażliwe serce! Wszyscy mówią już o twych uczuciach dla pięknej hrabiny Barin!

Frascati zarumienił się.

— Ah, odrzekł, są to inne powody....

— Ależ ja się wcale nie mieszam do pana spraw prywatnych, przerwał ambasador, proszę tylko mieć otwarte oczy! Obawiam się zawsze, że nas tu szpiegują!

Mówiąc to odszedł.

Frascati został sam, zamyślony i niespokojny.

— Dziś, rzekł sobie po chwili w duszy, musi się ta rzecz rozstrzygnąć. Muszę się dowiedzieć, czy to omyłka, czy też przypuszczenia moje, oparte na tem podobieństwie, są słuszne! Gdybym się nie mylił, to może zdołałbym ją wyrwać z rąk zbrodniarza, który ją oszukuje! Ale ja jej nie kocham! O, moja najdroższa Soniu, tobie ja będę wiernym aż do śmierci! Żadna inna nie będzie panować w mem sercu!

Wasyl tymczasem i Barin zbliżali się do bufetu.

— Więc dziś! szepnął Wasyl.

— Dziś! Zniknę za chwilę, odrzekł Barin równie cicho.

— Masz pan potrzebne narzędzia?

— Tak! W kilku minutach będzie wszystko załatwione! Nikt nie pozna, że obca ręka otwierała szkatułkę.

— O to mi też bardzo chodzi! Nikt nie ma wiedzieć o kradzieży, po kilku godzinach położysz pan dokumenta na dawne miejsce. Odpisanie nie twa długo. Czy żona panią zatrzyma barona Frascati aż do rana na balu?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Krakowiak.

....Teraz dla mnie, skrzypki, grajcie!
A wy, ludy, posłuchajcie!
Będzie śpiewka, taniec taki!
Przy nim inne: niuch tabaki!
Jeno na bok! z drogi!
Komu spokój błogi!
Bo niech brzęknie pasem,
W kąt mazur z wyrwasem!

. . . .

Nie cudeńka! „wej“ mazury....
Ani dołka, ani góry!
Zamiast „grontu“ — same piachy,
Zamiast błonia — wiślne łachy,
Kępy a wiklina
Cała ozimina!
Ziemniaki, kapustę
Baba zbierze w chustę!

U nas w polu snop przy snopie,
A po wioskach chłop przy chłopie;
Łąką wąż się nie przegniecie,
A co dziewka to w gorsecie!
Odziewek szlachecki,
Nie spencer „miemiecki!“
Bieluskie sukmany,
Pasik nabijany!

W mojej stronie niebo niebem,
W mojej stronie chlebuś chlebem,
W mojej stronie krew nie woda!
W piekło za tym, za kim zgoda!
Ale zobacz krzynę,
Obces za czuprynę!
Choćbyś zibrał, prosił —
Będziesz guza nosił!

Nic cudeńka! mazur ślepy!
Miesiąc czołga u polepy!
U nas chłopak się narodzi,
Do dziewczyny w trzy dni chodzi,
Już krzesze w cholewki,
Jużby śpiewał śpiewki!
Jeszcze w nóżkach słaby,
Już wie, jak do baby!

Bo też dziewka w mojej stronie,
Kieby tęcza na wygonie!
Chociaż spódnic trzy przywdzieje,
Chociaż żuru garniec wleje,
Zawdy w sobie cienka,
Smukła jak sosienka,
Od góry strzelista,
Z dołu przysadzista!

Warkocz u niej jak pozłota!
W ślepkach wrzątek i ochota!
Kiej od pieca od niej grzeje,
Że aż serce ci topnieje...
A pojmiesz za żonę,
Masz wszyćko zładzone:
Warza, opierunek —
Kobiecy frasunek!

A tu u was na Mazurach
Baba w stajni, chłop przy kurach;
Baba szkapą na targ jedzie,
A chłop myśli o obiedzie!
Baba za bat bierze,
A chłop szmaty pierze!
Wszyćko — rzeczcież sami —
Do góry nogami!

Ej! gadajta „cota“ chcecie!
Niema lepszej strony w świecie!
Ani ludzi, ani wioski,
Ani tańca nad krakowski!
Gdzie magierka z piórem,
W kąt wyrwas! z mazurem!
Przed kowanym pasem
Zmykaj z obertasem!

K. Laskowski.



Wiadomości.

— **Dziewięćset piątą** rocznicę męczeńskiej śmierci św. Wojciecha (patrz nr. 16-y „Pracy“ str. 437), obchodziliśmy dnia 23 kwietnia b. m. Jak corocznie tak i w tym roku podążyły liczne pielgrzymki naszych rodaków z blizka i z daleka do grobu św. Wojciecha do Gniezna, by wybłagać za pośrednictwem naszego świętego Patrona i Męczennika u Najwyższego lepszą dla nas i dla naszych dzieci dolę.

— **Z teatru.** Głośny utwór Tadeusza Kończyńskiego p. t. „Kajetan Orug“ zawitał nareszcie i na deski naszej sceny. Perlę tę dzisiejszego dramatu bardzo trudnego do oddania na scenie ze względu na swą głęboko psychologiczną treść, odegrali artyści nasi starannie, mianowicie p. Stradiot był znakomitym w roli tytułowej, a panna Podgórska jako Ludwika wlała w grę swą dużo realizmu. Nie możemy także pominąć pięknie wykonanych ról Maryi (panna Micińska), oraz ciotki Oruga (pani Królikowska.) Dobrze także odegrali galeryę wspólników Oruga pp. Borawski (książę Radomin), Turski (Borsuk), Starża (hr. Jezierski) i Poleński (Kolanko) Wystawa była staranna.

W sobotę na benefis p. Stradiota, zdolnego i pracowitego artysty, wystawioną będzie przepiękna nowość współczesnego wybitnego poety naszego Kaźmierza Laskowskiego p. t. „Pogrzeb.“

W niedzielę wieczorem po raz drugi „Pogrzeb,“ a po południu po cenach do połowy zniżonych „Wernyhora.“

Spodziewać się należy, że teatr tak w sobotę jak też w niedzielę będzie wykupionym ze względu na piękny repertuar oraz ze względu na to, że jeszcze dane będą w tym sezonie tylko 3 przedstawienia.

— **Z miasta.** Zapowiedziana „Wieczornica Lutni,“ oto najnowszy wypadek miejscowy, który serca wszystkich radości przejął uczuciem. Wieczory Lutni, to w naszych stosunkach prawdziwe zdarzenia muzykalne, które zyskały już zwłaszcza po ostatnim koncercie słuszne prawo obywatelstwa. Przed rokiem jeszcze, nikt, co znał nasze muzy-

czne stosunki, nie byłby przypuszczał, że Lutnia tak rychło nieśmiertelnego Moniuszki „Halkę“ nam da w darze, a tu już w niedzielę usłyszeć mamy wspaniały akt III. Prawdziwa to będzie biesiada artystyczna, tem znamienitsza, że w roli solowej Halki wystąpi siła artystyczna pierwszorzędna, po którą troskliwy o powodzenie zarząd pospieszył do Krakowa. Znana z występów swoich i wielce ceniona na salach koncertowych Krakowa i Lwowa, uczennica słynnego prof. Gänsbachera z Wiednia, panna Helena Sipieżanka, czarować nas będzie jako Halka. Między innymi wystąpi także prezes zasłużony Towarzystwa muzycznego, pan dr. Kazimierz Jarnatowski. Nauczeni doświadczeniem z ostatniej Wieczornicy, radzimy się rychło zaopatrzeć w bilety, które wyłącznie ma na sprzedaż p. Antoni Rose, pospiech zaś tembardziej zalecamy, że Wieczornica odbędzie się tym razem, jak słyszymy, ku wielkiemu wszystkich żalowi, na mniejszej sali Lamberta, ponieważ wielkiej Towarzystwu, mimo starań usilnych, uzyskać się nie udało.

— **„Alleluja.“** Pod tym tytułem napisał hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström piękny poemat na pamiątkę jubileuszu dwudziestopięcioletniego panowania Ojca św., Leona XIII. Poemat ten w formacie broszury wyszedł nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, przy ulicy św. Marcina.

— **Lekarz-Polak** poszukuje miejsca korzystnego osiedlenia lub natychmiastowego zastąpienia lekarza i prosi zgłosić się do redakcyi „Pracy“.

— **Mogilno.** Miasto nasze rokuje sobie przyszłość nielada, bo wiercenia za węglem kamiennym dotychczas dały świetny rezultat, a gdy dalsze poszukiwania nie zawiodą, doczekamy się zapewne prędzej, jak się spodziewaliśmy, kopalni węgla w stronach naszych.

— Dzięki zabiegom p. Józefa Strzelęckiego, ma w mieście naszem powstać szkoła przygotowawcza do gimnazyum (tercyi niższej). — Na zebraniu odnośnem, któremu nasz p. burmistrz przewodniczył, wybrano komisyą, mającą tę sprawę przeprowadzić.

— Zawiązało się w mieście naszem nowe niemieckie towarzystwo z ograniczoną poręką pod firmą: „Deutsches Vereinshaus — Mogilno“ i zakupiło na własność hotel Bethke'go. Do zarządu należą: Borck z Dąbrówki, Roht z Twierdzynia i rendant kasy powiatowej Eckhart z Mogilna.

— Przy rewizyi tutejszej kasy pożyczkowej pod firmą „Mogilnoer Spar- und Darlehns-Kassen-Verein“ wykrył rewizor związkowy nieszczególną gospodarkę, w skutek tego aresztowano rendanta towarzystwa, sekretarza miejskiego Tietza.

— Osiedlił się w Mogilnie na stałe fotografista, Aleksander Dorn z Bydgoszczy.

— **Gniezno.** Zwiedzającym Gniezno rodakom zwracamy uwagę na istniejącą w mieście naszem od niedawna kawiarnię ludową p. Henkego pod firmą „Gospoda wstrzemięźliwości“, położoną przy Rynku 12, róg ulicy Franciszkańskiej, naprzeciw sądu ziemiańskiego. W lokalu tym za tanią nadzwyczaj cenę posilić się można kawą, herbatą, czekoladą, mlekiem, limonadą, sokami i owocami, zastępującymi zupełnie wino i piwo i małemi przekąskami. W interesie szerzenia wstrzemięźliwości, w jakim to celu „Gospoda“ głównie założoną została, jaknajlepszego powodzenia życzyć jej należy.

— **Rawicz.** Córka wyższego nauczyciela p. Marcelego Bojdzińskiego, p. Eleonora Bojdzińska, złożyła egzamin na nauczycielkę. Szczęść jej Boże!

— **Inowrocław.** Pan Józef Stark z Mogilna sprzedał w Rojewie pod Inowrocławiem posiadłość nr. 1 p. Franciszkowi Zielińskiemu, nr. 5 p. Kwiatkowskiemu, nr. 35 p. Szmytowi. Grunta te należały przedtem do p. Franciszka Kaszuby.

Zaraz po sprzedaniu tych realności nabył p. Stark także w Rojewie od p. Prusaka posiadłości nr. 30 i 36.

— **Otrzymaliśmy** z prośbą o zamieszczenie pismo następujące:

Czyby kto z czytelników „Pracy“ nie mógł dać informacyi o rodzinie Krajewskich, której prawdziwe nazwisko miało być Dembiccy. Znakomita ta rodzina miała obszerne włości na Ukrainie i w Król. Polskiem, które rząd ros. zabrał w porozbiorowym czasie Polski. Wówczas to trzech młodych braci Dembickich przybrało nazwisko Krajewskich i udało się tu na zachód, gdzie jeden z tychże został księdzem, drugi został burmistrzem w Wolsztynie a trzeci najstarszy, imieniem Franciszek, był pełnomocnikiem dóbr rodziny Radońskich pod Wolsztynem, Grodziskiem i Sremem, umarł przed mniej więcej 50 a nawet 60 laty i pochowany w Sremie z żoną swoją Weroniką. Chodzi głównie o dowody dla sprawdzenia właściwego nazwiska tej rodziny, które możeby rodzina Radońskich lub Żółtowskich dostarczyć mogła. Możeby i inne pisma a przedewszystkiem gazety zakordonowe to powtórzyć zechciały?

Może powyższe zapytanie odniesie skutek pożądany, bo czyni się to w interesie spadkowym; możeby w jakiem archiwum dokumenta odnaleźć można, potomkowie bowiem piśmiennych nie posiadają, bo ich przodkowie z przybraniem obcego nazwiska, starannie ukryli wszelkie papiery, a dziś oneby tak ważną rolę odegrać mogły.

Wszystkie informacye w tej sprawie proszę nadsyłać pod moim adresem.

Z poważaniem
M. Olszewska,
czytelniczka „Pracy“.

Nekla, 15. 4. 02.

Zmarli.

† Dnia 21-go b. m. w nocy zasnęła w Bogu w Poznaniu ś. p. Paulina z Berwińskich Mizerska, matka zasłużonego posła do sejmu, radzcy konsystorza d-ra Mizerskiego. Synowi w smutku pogrążonemu i ciężko strapionej rodzinie przesyłamy wyrazy najszczerszego współczucia.

— **Gerschede.** Dnia 8-go bm. zmarł tutaj po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach, śp. Wiktor Gimzicki, rodem z Błociszewa w W. Ks Poznańskiem. Zmarły był dzielnym Polakiem i gorącym patryotą. Na pogrzeb zeszli i zjechali się licznie rodacy, mianowicie z Bottrop, Boyer i Fronhausen, a Towarzystwo św. Barbary z Dellwig wzięło udział w pogrzebie z sztandarem. — Niech spoczywa w spokoju!

Ruch w Towarzystwach.

— **Nadzwyczajne** walne zebranie „Towarzystwa organistów pod op. św. Wojciecha“ na Gniezno i okolicę, odbędzie się w Gnieźnie w „Gospodzie wstrzemięźliwości,“ Rynek nr. 12, róg ul. Franciszkańskiej, w wtorek dnia 29 kwietnia r. b. o godz. 2-ej po południu. Porządek obrad: 1. Zagajenie. 2. Wybór przewodniczącego. 3. Sprawozdanie Zarządu. 4. Wybór nowego Zarządu. 5. Przyjęcie nowych członków i uiszczenie się z składek. 6. Wybór delegatów na walne zebranie związku. 7. Wolne wnioski. 8. Spiewy z kancyonału. 9. Zamknięcie zebrania. — Na zebranie to wszystkich członków Towarzystwa, tak czynnych jak honorowych, i wszystkich Towarzystwu życzliwych, tak duchownych jak świeckich, jak najuprzejmiej zaprasza

A. B. Henke,
sekretarz Związku Towarzystw organistowskich, organista przy kościele pofranciszkańskim w Gnieźnie.

„Towarzystwo św. Kazimierza“ w Hanowerze urządza w niedzielę, dnia 4-go maja b. r. na dolnej sali Koncerthausu, wchód am Marstall, zabawę połączoną z przedstawieniem amatorskiem, koncertem i tańcami. Na zabawę tę zaprasza szanownych rodaków i gości

Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu Bolesławowi P. w Środzie. — Bez oznaczenia rocznika i numeru „Pracy“ trudno odszukać.

Panu K. Katerli w Monend (Szkocya). — Oddaliśmy list Pański do załatwienia naszej Administracyi.

Imci Księdzu M. w Gdańsku. — Wydawca i właściciel „Przyjaciela Ludu“, pan Stanisław Tomaszewski w firmie „J. Fr. Tomaszewski“, przy ulicy Berlińskiej nr. 5, powszechnie szanowany obywatel, wydaje „Bibliotekę dla dzieci.“

Panu Szymonowi Waś. w Gerschede — Wspomnienie pośmiertne zamieszczaimy. Fotografii z przyczyn od nas niezależnych zamieścić nie będziemy mogli.

Imci Księdzu J. w Żninie. — Zamieścimy jak najchętniej; co do spisu składkujących nadesłanego przed świętami, to zdaje się nam, żeśmy go już zamieścili. Jeżeli się mylimy, to prosimy o łaskawe nadesłanie wiadomego spisu, a natychmiast ogłosimy.

Panu H. W. N. w Koronowie. — Dziełko takie wyszło nakładem wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu, w języku polskim i niemieckim. Co do drugiej sprawy, to musi być na razie w zawieszeniu, gdyż nasz wydawca w więzieniu.

Panu B. N. w Paruszowcu na G. Ślązku. — Bezimiennych notatek, listów itd. nie zamieszczamy tym więcej, że tu chodzi o interes Pański zupełnie osobisty.

Pani A. K. w Wichulcu (Pr. Zachodnie.) — Nasz wydawca odsiaduje jak wiadomo, obecnie sześciotygodniową karę więzienną. W powieści, nowelki i t. d. jesteśmy zaopatrzeni na czas dłuższy.

Panu Stan... Kow... Kub.. w Krakowie. — Odebraliśmy, dziękujemy, zamieścimy później, gdyż wpierw zużyć musimy już oddawna zaległy materyał.

W sądzie.
Sędzia: Ukradliście z lasu sosnę, co macie na swoją obronę.

Wojtek: Jaka tam sosna, wart był ten patyk wszystkiego z pięć złotych.

Sędzia: No i coście zrobili z tym patykiem?

Wojtek. Zawiozłem do Krzywinia i sprzedałem.

Sędzia: A wieleście wzięli?

Wojtek: Trzy talary...

Nasze sługi.
Wieczorem pani domu dysponuje obiad i do pieczeni każe zrobić kapustę.

Następnego dnia wchodzi do kuchni i widzi gotujący się makaron.

— Co to? — pyta.

— A to proszę pani, do pieczeni dziś będzie makaron, bo my z Maryanną kapusty nie lubimy! — odpowiada z całą naiwnością Walentowa.

Pan X. — Serce się kraje, powiadam pani! Na bruk będzie wyrzucony z chorą żoną i czworgiem dzieci, jeśli do jutra nie będzie zapłacone komorne!

Filantropka: — Nie mów pan! Zapłacę zaraz. Czy to tylko prawda!

Pan X. — Ależ ja wiem najlepiej: mieszkają w moim domu!...

Nadętość jest płaszczem, okrywającym najchętniej głupotę.

Jeżeli chcesz mieć chleb codzienny, musisz wpaść na niecodzienny pomysł niecodziennej pracy.

Na galeryjkę tramwaju gramoli się jakiś mocno korpulentny jegomość. Ściśnięci, jak śledzie, pasażerowie protestują. Ktoś odzywa się półgłosem:

— Ależ do licha! tramwaj nie jest dla słoni.

— Przepraszam — odpowie korpulentny jegomość — tramwaj, jak arka Noego, jest dla wszelkich zwierząt począwszy od słonia a kończąc na ośle.